



Gustave Aimard
BIAŁY ŁOWCA SKALPÓW

Czwarty tom cyklu „Traperzy z Arkansasu”



59

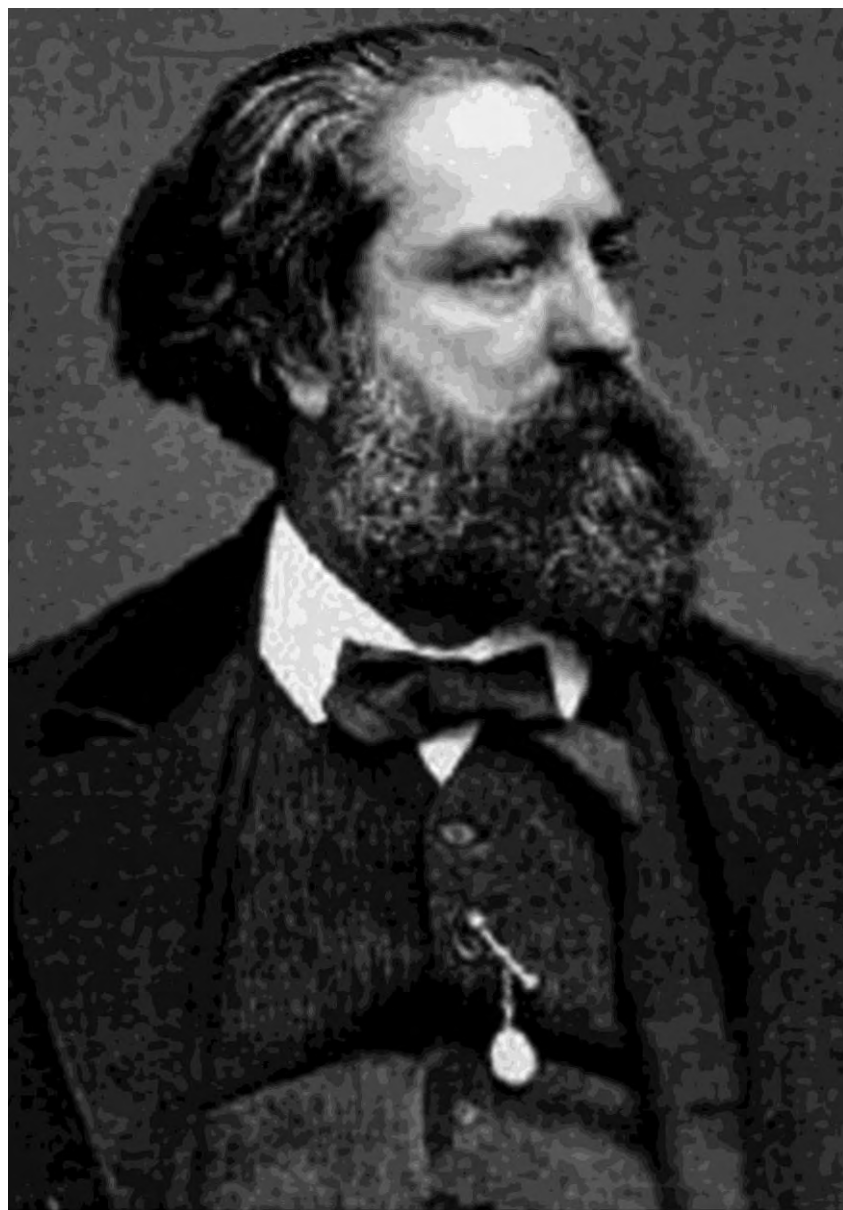
ISBN 978-83-67876-67-4 (całość)

ISBN 978-83-67876-71-1 tom 4)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Gustave Aimard

BIAŁY ŁOWCA SKALPÓW



Gustave Aimard (właśc. Olivier Gloux) urodził się 13 września 1818 roku w Paryżu, zmarł 20 czerwca 1883 roku w paryskim przytułku św. Anny, do którego trafił pod koniec życia jako biedny, schorowany człowiek, uznany przez otoczenie za szaleńca.

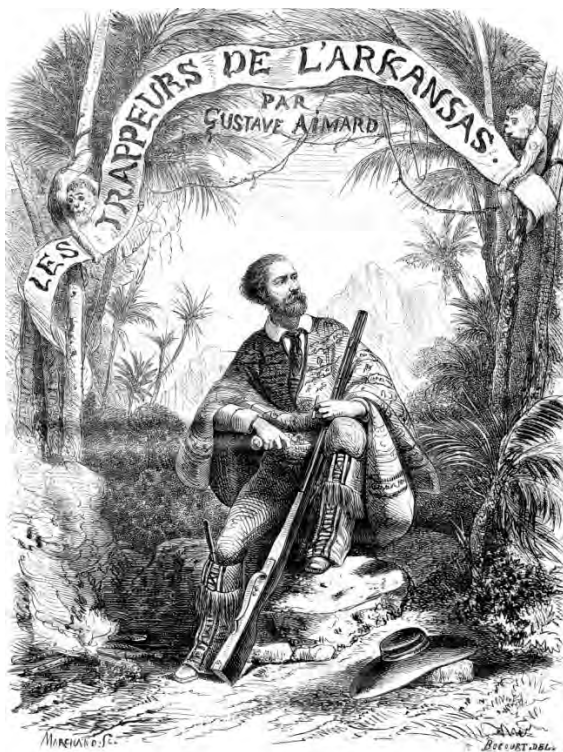
Był autorem powieści przygodowych, jednym z najpłodniejszych i najpopularniejszych francuskich pisarzy XIX wieku.

Biologiczni rodzice porzucili go, został adoptowany przez rodzinę Gloux. Oficjalnie nazywał się Olivier Gloux, ale sam używał imienia Gustave. W wieku dziewięciu lat uciekł z domu i zaciągnął się na statek jako chłopiec okrętowy. Młodzieńcze lata spędził w Ameryce Południowej, m.in. w Patagonii, później trafił do Ameryki Północnej, gdzie wiódł życie pełne przygód i parał się różnymi profesjami, był myśliwym, traperem, poszukiwaczem złota. W 1835 roku zaciągnął się do wojska, ale po kilku latach zdezerterował. Podróżował po Europie, Turcji, Kaukazie i obu Amerykach.

Po powrocie do Francji poświęcił się pisaniu powieści przygodowych. Szczególnie upodobał sobie opowieści o amerykańskim Zachodzie, które opierał na swym bogatym doświadczeniu i licznych wspomnieniach. W ciągu dwudziestu pięciu lat spod jego pióra wyszło około sześćdziesięciu powieści. Do najbardziej znanych należą *Traperzy z Arkansas* (1858) i *Bandyci z Arizony* (1882) oraz duży cykl *Władcy Oceanu*. Początkowo jego powieści publikowano w czasopiśmie takich jak „Le Moniteur”, „La Presse”, „Le Voleur” i „La Liberté”. Jego książki doczekały się we Francji licznych wznowień i adaptacji, także teatralnych.

Powieści Gustave’a Aimarda opisują losy mieszkańców Ameryki Północnej na tle kolonialnych ambicji wielkich europejskich mocarstw i postępującego procesu znikania populacji Indian. Autor chętnie sięga po postaci gońców leśnych, traperów i myśliwych, ludzi pogranicza stanowiących łącznik między europejską cywilizacją a światem Indian. Główni bohaterzy jego powieści to ludzie o europejskich korzeniach, niezależni i odważni, wyznający zachodnie wartości moralne, ale prowadzący indiański styl życia.

Gustave Aimard



BIAŁY ŁOWCA SKALPÓW

Czwarty tom cyklu „Traperzy z Arkansasu”

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Sto pięćdziesiąta dziewiąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Pięćdziesiąty dziewiąty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
Le Scalpeur Blanc

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2025

26 ilustracji cz.-b., 6 kart tablicowych kolorowych:
Alexandre de Bar, Jean Gérard-Séguin, A. Darjoy
zaczerpnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego
podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Jolanta Spyrka
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2025

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-67-4 (całość)
ISBN 978-83-67876-71-1 (tom czwarty)

Rozdział I

Rekonesans

Pułkownik Melendez, porzuciwszy Jaguara, pędził z rozpaloną głową i dyszącą piersią drogą do Galveston, pobudzając ostrogami zapal swojego wierzchowca, który tymczasem zdawał się pożerać przestrzeń, tak szybki był jego bieg.

Ale z Salto del Frayle do miasta był spory kawał drogi. Cały czas galopując, pułkownik rozmyślał, a im więcej myślał, tym bardziej wydawało mu się niemożliwe, że Jaguar powiedział mu prawdę. Rzeczywiście, jak mógł przypuszczać, że ten zuchwały i waleczny partyzant odważyłby się zaatakować na czele garstki awanturników doskonale uzbrojoną korwetę, obsadzoną liczną załogą i dowodzoną przez jednego z najlepszych oficerów meksykańskiej marynarki wojennej! Pułkownikowi jeszcze mniej prawdopodobne wydawało się zdobycie fortu.

Podczas tych rozważań młody oficer stopniowo, prawie niezauważenie, zwalniał tempo swojego konia, który wyczuwając, że nie jest już dozorowany, niepostrzeżenie przeszedł z szybkiego galopu w cwał, potem w kłus, a w końcu w bardzo naturalny sposób przeszedł do stępa, idąc ze spuszczoneym łbem i skubiąc wargami znajdującą się w jego zasięgu trawę.

Noc już dawno zapadła. W okolicy panowała głęboka cisza przerywana jedynie stłumionym rykiem fal przetaczających się po kamkach na plaży.

Pułkownik podążał niewielką ścieżką biegnącą wzdłuż wybrzeża, ścieżką bardzo znacznie skracającą dystans dzielący go od Galveston. Ścieżka ta, dość mocno uczęszczana podczas dnia, w tej wczesnej godzinie była zupełnie opustoszała. Znajdujące tu i ówdzie rancza były zamknięte, w ich wąskich oknach nie świeciło się światło, a rybacy, zmęczeni ciężką pracą za dnia, wcześniej położyli się spać.

Koń młodego oficera coraz bardziej zwalnający krok, ośmielony brakiem reakcji, w końcu zatrzymał się obok niedużego krzewu i natychmiast zaczął go oskubywać z liści.

Ten bezruch wyrwał pułkownika z zadumy, w której był pogrążony i, że tak powiem, z miejsca go obudził.

Rozejrzał się dookoła, by zorientować się w terenie.

Chociaż ciemność była dość głęboka, to jednak łatwo było mu rozpoznać, że wciąż znajduje się dość daleko od docelowego miejsca.

W odległości strzału z karabinu widać było ranczo z hermetycznie zamkniętymi oknami przepuszczającymi jednak cienką strużkę światła przez szczeliny w okiennicach.

Pułkownik spojrzął na zegarek. Dochodziła północ.

Dalsza jazda byłaby szaleństwem, zwłaszcza że znalezienie łodzi, która zabrałaby go na wyspę, byłoby niemożliwe. Bardzo zirytowany tą przeszkodą mogącą mieć poważne konsekwencje, zakładając, że rewelacje Jaguara okażą się prawdziwe, młody oficer, przeklinając tę mimowolną zwłokę, postanowił ruszyć w kierunku widniejącego przed nim rancza, a gdyby już tam dotarł, spróbować znaleźć sposób na przeprawę przez zatokę.

Otoczywszy ciasno ciało fałdami swego obszernego płaszcza, aby jak najlepiej ochronić się przed wilgotnym morskim powietrzem, pułkownik ściągnął wodze i dawszy koniowi ostrogę, ruszył ostrym kłusem w stronę rancza.

Odległość była nieduża i podróżny wkrótce tam dotarł. Kiedy jednak znalazł się zaledwie kilka kroków od niego, zamiast kontynuować jazdę prosto do bramy, zsiadł z konia, przywiązał go do pnia mezquite i przypięwszy pistolety do pasa, zrobił dość długie obejście i cichaczem zbliżył się do jednego z okien rancza.

W stanie fermentacji, w jakiej znajdowały się wówczas umysły Teksańczyków, całkowicie zniknęło dawne zaufanie, a zastąpiła go największa nieufność. Nie byliśmy już w czasach, gdy dzień i noc drzwi domów pozostawały otwarte, aby ułatwić obcym wejście do rodzinnego ogniska. Gościnność, tradycyjna w tych stronach, przynajmniej na razie ustąpiła miejsca podejrzliwości, a wejście do nieznanego domu

przed upewnieniem się, że należy on do przyjaciela, byłoby niewypowiedzianie nierozważne.

Szczególnie pułkownik, ubrany w meksykański mundur, musiał działać z ekstremalną rezerwą.

Ranczo było dość duże, nie wyglądało na ubogie i zaniedbane, co zbyt często widać w domach hiszpano-amerykańskich *campesinos*.

Był to kwadratowy dom z dachem we włoskim stylu, poprzedzony portykiem z *azoteą*. Pobielone ściany przyjemnie kontrastowały z zielenią dzikich winorośli i innych porastających je roślin.

Ranczo nie było otoczone murem, a jedynie gęstym żywopłotem, w kilku miejscach samotnie broniącym dostępu do domostwa.

Budynki gospodarcze były duże i dobrze utrzymane. Wszystko wskazywało na to, że właściciel tego domu prowadził duży biznes na własny rachunek.

Jak już wspomnieliśmy, pułkownik powoli i po cichu podszedł do jednego z okien. Okiennice były starannie zamknięte, ale nie na tyle szczelnie, by po cienkim strumieniu światła wydostającego się na zewnątrz nie domyślić się, że ktoś czuwa wewnątrz.

Na próżno pułkownik przykładł oko do szczeliny – nie był w stanie nic dostrzec. Jeśli jednak nie widział, to słyszał, a pierwsze słowa jakie dotarły do jego ucha prawdopodobnie wydały mu się bardzo poważne, ponieważ podwoił swoją uwagę, aby nie stracić niczego z rozmowy.

Korzystając po raz kolejny z naszego przywileju powieściopisarza, wejdziemy na ranczo i pozwolimy Czytelnikowi być świadkiem rozgrywającej się tam niezwyklej sceny, lecz ku jego wielkiemu niezadowoleniu najciekawsza jej część umknęła pułkownikowi.

W dość małym pokoju, słabo oświetlonym kopnącą się świecą, zebrało się czterech mężczyzn o ponurych twarzach i dzikich spojrzeniach, ubranych w stroje *campesinos*.

Trzech z nich, siedzących na *butacas* i *équipales*, słuchało z karabinami między nogami czwartego chodzącego po pokoju chwiejnym krokiem z rękami za plecami.

Szerokie skrzydła kapeluszy ze skóry wigonia noszonych przez pierwszych trzech osobników i ciemność panująca w pokoju utrud-

niały dostrzeżenie ich twarzy i ocenę wyrazu ich twarzy. Czwarty, przeciwnie, nie miał żadnego nakrycia. Był to mężczyzna około czterdziestki, wysoki i dobrze zbudowany; muskularne kończyny wskazywały na niezwykłą siłę, a las czarnych kręconych włosów opadał na jego szerokie ramiona. Posiadał wysokie czoło, prosty nos i przenikliwe czarne oczy. Dolną część twarzy skrywała długa, krzaczasta gęsta broda. W wyglądzie tego człowieka było coś śmiałego i dumnego, co wzbudzało szacunek i niemal strach.

W tej chwili wydawał się być ogarnięty gwałtownym gniewem – jego brwi były ściągnięte, policzki posiniałe, a czasami, gdy dał się ponieść emocjom, bezskutecznie próbując powstrzymać, jego oczy rzucały oślepiające błyski nagle sprawiające, że wymienione wcześniej trzy osoby pochyliły pokornie głowy i wydawały się z jakiegoś nieznanego powodu wydawały się być od niego mocno uzależnionymi.

W chwili naszego wejścia do pokoju, nieznajomy zdawał się podsumowywać trwającą od jakiegoś czasu dyskusję.

– Nie! – powiedział donośnym głosem. – Tak dłużej być nie może. Hańbisz bronioną przez nas świętą sprawę poprzez buntownicze okrucieństwa szkodzące nam w umysłach ludzi i autoryzujące wszystkie oszczerstwa, które nasi przeciwnicy rozpowszechniają w stosunku do nas. To nie poprzez naśladowanie naszych ciemieżców uda nam się udowodnić masom, że naprawdę chcemy ich dobra. Niezależnie od tego, jak słodka może być zemsta za otrzymaną zniewagę, kiedy stawiamy się jako obrońcy zasady tak świętej jak ta, za którą przelewamy krew od dziesięciu lat, każdy musi się wyrzec i zapomnieć o wszystkich partykularnych nienawiściach, aby wchłonąć je w wielką narodową mściwość. Ja, który jako pierwszy odważyłem się wznieść okrzyk buntu i zainaugurować ruch oporu; ja, który od najmłodszych lat poświęciłem wszystko, majątek, przyjaciół, krewnych, w jedynej nadziei, że pewnego dnia zobaczę mój kraj wolny, wycofam się z walki hańbionej każdego dnia przez ekscesy, których sami czerwonoskórzy by się wyparli.

Trzej osobnicy, do tej pory będący dość spokojni, poderwali się na nogi, protestując, że są niewinni przypisywanych im zbrodni.

– Nie wierzę wam – powiedział gniewnie. – Nie wierzę wam, ponieważ to wysunięte teraz oskarżenie mogę w całości udowodnić! Spodziewałem się, że mi zaprzeczycie. Wasza rola była zaplanowana, musieliście działać tak, jak działaliście, bowiem każda inna droga była dla was zamknięta. Tylko jeden z was, najmłodszy, ten, który być może miałby największe prawo do odwetu, zawsze był w stanie sprostać swojej misji i chociaż nasi wrogowie wielokrotnie próbowali go oczernić, on zawsze pozostawał czysty, jak nawet przyznają to sami Meksykanie. Znacie tego przywódcę równie dobrze jak ja – to Jaguar. Wczoraj, na czele kilku naszych ludzi, dokonał jednego z najpiękniejszych i najbardziej niezwykłych wyczynów.

Wszyscy stłoczyli się wokół obcego i pytali go z zaciekawieniem.

– Czy muszę wam mówić, co się stało? Za kilka godzin będziecie wszystko wiedzieli. Wystarczy wam na razie powiedzieć, że konsekwencją śmiałej akcji Jaguara jest natychmiastowa kapitulacja Galveston, gdyż miasto nie może już dłużej się nam przeciwstawiać.

– A więc triumfujemy! – wykrzyknął jeden z *campesinos*.

– Tak, ale to jeszcze nie koniec. Jeśli udało nam się odebrać Meksykanom miasto Galveston, to mają oni jeszcze pięćdziesiąt innych, w których mogą się zamknąć. Więc uwierzcie mi – zamiast poddawać się nieumiarkowanej radości i nierozważnej pewności siebie, podwójcie swoje wysiłki i wykażcie się poświęceniem jeśli chcecie na koniec chciecie być zwycięzcami.

– Ale co musimy zrobić, aby osiągnąć ten rezultat, którego pragniemy tak bardzo jak ty? – zapytał mężczyzna, który już raz zabrał głos.

– Podążajcie ślepo za udzielonymi wam przeze mnie radami i wykonujcie bez wahania i komentarza wydawane wam rozkazy. Czy obiecujecie mi to?

– Tak! – wykrzyknęli entuzjastycznie. – Tylko ty, *don Benito*, możesz nas bezpiecznie poprowadzić i zapewnić nam zwycięstwo!

Na chwilę zapadła całkowita cisza.

Mężczyzna właśnie nazwany *don Benitem*, podszedł do rogu pokoju zamkniętego zieloną zasłoną z serży i odsunął ją. Za nią znajdowała się alabastrowa figura Dziewicy z La Soledad z płonąca przed nią lampą. Teraz odwrócił się do zebranych.

– Na kolana i kapelusze z głów! – powiedział.

Wszyscy go usłuchali.

– Teraz – kontynuował – przysięgnijcie, że wiernie dotrzymacie obietnicy, którą właśnie mi dobrowolnie złożyliście! Przysięgnijcie być miłośnikami dla pokonanych w bitwie i łagodni dla jeńców po zwycięstwie! Za taką cenę zgadzam się udzielać wam wsparcia. Jeśli tego nie zrobicie, natychmiast wycofam się ze sprawy, która jeśli nie przegra, to przynajmniej zostanie zhańbiona.

Po pobożnym przeżegnaniu się, trzej mężczyźni wyciągnęli prawą rękę w kierunku figurki, mówiąc stanowczymi głosami:

– Przysięgamy na to, na co liczymy w niebie!

– Dobrze! – powiedział Don Benito, zasuwając zasłonę i dając im znak, by powstali. – Wiem, że jesteście zbyt wielkimi *caballeros*, by złamać tak uroczystą przysięgę.

Pułkownik, zdezorientowany tą niezwykłą sceną, której w ogóle nie rozumiał, nie wiedział, co zrobić, gdy nagle wydawało mu się, że niedaleko od siebie usłyszał niewyraźny hałas. Natychmiast prostując się, schował się za żywopłotem, bardzo zaniepokojony przyczyną szybko zbliżającego się hałasu. Niemal natychmiast zauważył kilku mężczyzn powoli zbliżających się w mroku.

Mężczyźni ci, w liczbie czterech, nieśli piątego na ramionach.

Podeszli prosto do drzwi, gdzie zapukali w określony sposób.

– Kto tam przybywa? – zapytał ktoś ze środka.

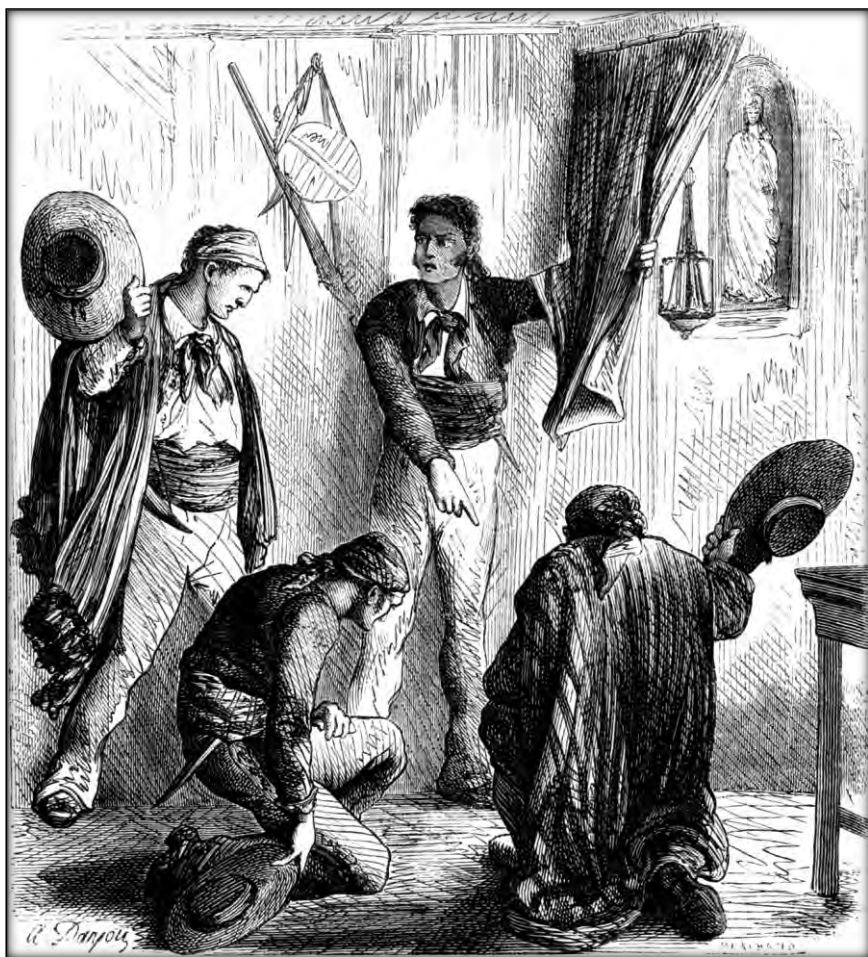
Jeden z przybyłych odpowiedział, ale głosem tak cichym i stłumionym, że pułkownik nie był w stanie usłyszeć, co zostało powiedziane.

Drzwi otworzyły się, nieznajomi weszli do środka, po czym drzwi zamknęły się ponownie, ale nie tak szybko, by mężczyzna, który je otworzył, nie zdążył rzucić wokół siebie badawczego spojrzenia.

– Co to ma znaczyć? – mruknął pułkownik.

– To znaczy – powiedział szorstki głos do jego ucha – że słuchasz tego, co cię nie dotyczy, pułkowniku Melendez, i że może to stać się dla ciebie niebezpieczne.

Pułkownik, zaskoczony tą nieoczekiwaną odpowiedzią, a zwłaszcza tym, że jest tak dobrze znany, wyciągnął zza pasa pistolet, odbezpieczył go i odwrócił się do dziwnego rozmówcy:



– Na kolana i kapelusze z głów! – powiedział.

– Na honor! – odpowiedział. – Nie ma gorszego niebezpieczeństwa niż natychmiastowa śmierć, a przysięgam, że niewiele mnie to obchodzi.

Nieznajomy roześmiał się i wyszedł z gęstwiny, w której się ukrywał. Był to mężczyzna o krzepkiej posturze. Podobnie jak pułkownik, trzymał w dłoni pistolet.

– Wie pan, że w meksykańskiej armii pojedynkowanie się jest zabronione – powiedział – więc proszę mi wierzyć, niech pan zostawi ten pistolet w spokoju, gdyż jeśli on wystrzeli, może doprowadzić do bardzo niefortunnych dla pana komplikacji.

– Najpierw opuść pan broń – odpowiedział chłodno pułkownik – a potem zobaczę, co wypada mi zrobić.

– Jak sobie pan życzy – odparł drugi, wciąż uśmiechnięty, chowając pistolet za pas.

Pułkownik poszedł w jego ślady.

– Teraz – kontynuował nieznajomy – muszę zamienić z panem słowo, ale, jak pan zapewne zdaje sobie sprawę, to nie jest miejsce na potajemną rozmowę.

– Faktycznie! – rzekł pułkownik, dostosowując się do niezwyklego człowieka, z którym przypadek tak niespodziewanie postawił go twarzą w twarz.

– Cieszę się, że się pan ze mną zgadza. Cóż, pułkowniku, skoro tak jest, proszę być tak uprzejmym i towarzyszyć mi tylko kilka kroków, a zaprowadzę pana do znanego mi miejsca doskonale nadającego się na rozmowę, którą musimy razem odbyć.

– Jak sobie życzysz, *caballero* – odpowiedział pułkownik, kłaniając się.

– Chodź więc! – rzekł obcy i ruszył w drogę.

Pułkownik podążył za nim.

Pokonali niedużą przestrzeń. Nieznajomy zaprowadził go do miejsca, gdzie uwiązał swojego konia, obok którego stał teraz inny.

Obcy zatrzymał się.

– Ruszamy dalej?

– Po co? – zapytał młody oficer.

- Żeby odjechać, na Boga! Nie wraca pan do Galveston?
- Tak, wracam. Jednak...
- Jednak – przerwał mu nieznajomy – nie pogniewałbyś się, mogąc pokręcić się po tym rancho trochę dłużej, prawda?
- Przyznaję, że tak.
- No cóż! Na mój honor nie masz racji z dwóch powodów: po pierwsze, nie dowiesz się niczego więcej niż to, czego się domyślasz, czyli że to rancho jest kwaterą główną powstania. Widzisz, że jestem z tobą szczerzy.
- Dostrzegam to. Teraz słucham jaki jest drugi powód?
- Jest dość prosty. W każdej chwili ryzykujesz, że możesz zostać powitany kulą, a wiesz, że Teksańczycy są całkiem dobrymi strzelcami.
- Bez wątpienia! Ale wiesz też, że ten powód ma dla mnie nie-wielką wartość.
- Przepraszam, ale odwaga nie polega, przynajmniej moim zdaniem, na poświęcaniu życia bez powodu. Wręcz przeciwnie, polega na byciu zabitym tylko z dobrego powodu, to znaczy wartego zachodu.
- Dzięki za ten wykład, *caballero*.
- Zatem odjeżdżamy?
- W tej chwili, jeśli zechcesz mi powiedzieć, kim jesteś i dokąd się udamy.
- Na Boga! Dziwię się, że jeszcze mnie nie rozpoznałeś, bo łączą nas długie, jeśli nie zażyłe, to przynajmniej bardzo przyzwoite relacje.
- Być może. Dźwięk twojego głosu nie jest mi obcy, wydaje mi się, że słyszałem go już wcześniej. Mimo to nie pamiętam, gdzie i w jakich okolicznościach.
- Na Boga! Pułkowniku, pozwól sobie powiedzieć, że ma pan bardzo krótką pamięć! Ale tyle się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania, że trudno się dziwić, iż mnie pan zapomniiał. Jednym słowem, przywróćę panu wszystkie wspomnienia: jestem John Davis, były handlarz niewolników.
- Pan! – wykrzyknął pułkownik, mocno zaskoczony.
- Zgadza się.
- Ho! ho! – zawołał pułkownik, dumnie krzyżując ramiona i patrząc mu prosto w oczy. – W takim razie mamy rachunek do wyrównania.

– Nie sądzę, bym kiedykolwiek miał z panem do wyrównania jakiegoś rachunku, pułkowniku.

– Zapomniałeś, *master* Johnnie Davis, jak nadużyłeś mojego zaufania i zdradziłeś mnie.

– Ja! Myli się pan, pułkowniku. By to zrobić musiałbym być Meksykaninem, a nim, dzięki Bogu, nie jestem! Służyłem mojemu krajowi, tak jak pan służył swojemu, to wszystko. Jak wiesz, w rewolucji każdy walczy za siebie.

– To powiedzenie może ci odpowiadać, *master* Davis, rozumiem to. Jednak ja znam tylko jeden rodzaj lojalności, sprawiający, że działa się szczerze i z podniesioną głową.

– Hm! Dużo by można o tym mówić, ale w tej chwili nie o to chodzi. Dowodem na to, że się mylisz i jesteś wobec mnie niesprawiedliwy, jest to, że zaledwie kilka minut temu trzymałem twoje życie w swoich rękach i nie chciałem go odebrać.

– Mylisz się, bo przysięgam ci, że jeśli nie będziesz się bronić, w tej chwili odbiorę ci twoje! – powiedział, odbezpieczając pistolet.

– To na poważnie?

– Bardzo poważnie, uwierz mi!

– Jesteś szalony! – rzekł John Davis, wzruszając ramionami. – Jaki diabeł podsunął ci do głowy pomysł, by chcieć mnie zabić?

– Chcesz się bronić, czy nie?

– Chwileczkę! Co z ciebie za człowiek! Nie da się z tobą dogadać.

– Tylko jedno słowo, ale krótko.

– Na Boga, wiesz, że nie mam w zwyczaju wygłaszać długich przemówień!

– Słucham.

– Po co tak dręczyć kolbę swej broni? Zemsta jest prawdziwa tylko wtedy, gdy jest kompletna. Jeden strzał byłby sygnałem do twojej śmierci, bo zostałbyś otoczony i zaatakowany ze wszystkich stron naraz, zanim zdążyłbyś włożyć stopę w strzemień. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Do rzeczy, *master* Davis, gdyż spieszę się!

– Przyznasz – kontynuował Amerykanin, wciąż niewzruszony – że nie szukam niegodnego wybiegu, by uniknąć spotkania z tobą?

– Wiem, że jesteś odważnym człowiekiem.

– Dziękuję ci za to! Nie dyskutuję o wartości powodu, dla którego chcesz wymienić się ze mną kulą. Pretekst jest niczym dla mężczyzn takich jak my. Daję ci słowo, że będę do twojej dyspozycji w wybranym przez ciebie dniu i godzinie, ze świadkami lub bez. Czy to ci odpowiada?

– Czy nie lepiej byłoby wsiąść na konia, pogalopować przez chwilę po równinie przed nami i mieć to od razu za sobą?

– To by mi odpowiadało, niestety na razie muszę pozbać się tej przyjemności. Powtarzam, nie możemy walczyć ze sobą, przynajmniej na razie.

– Ale dlaczego, jaki jest powód? – zawołał młodzieniec z gorączkową niecierpliwością.

– Powód jest następujący i oto on, skoro koniecznie żądasz, abym ci powiedział. Jestem w tej chwili powiernikiem bardzo poważnych interesów. Jednym słowem, zostałem obarczony przez dowódców teksańskiej armii misją najwyższej wagi do generała Rubio, wojskowego gubernatora Galveston. Jest pan zbyt wielkim *caballero*, by nie zrozumieć, że nie wolno mi ryzykować życia, które do mnie nie należy.

Pułkownik uklonił się ze wspaniałą grzecznością, zabezpieczył pistolet i włożył za pas.

– Wstydzę się tego, co się stało – powiedział. – Wybacz mi pan, że dałem się ponieść gniewowi. Zgadza się, że w całej tej sprawie pańskie zachowanie było godne i delikatne. Śmiem mieć nadzieję, że mi pan wybaczy?

– Niech nie będzie między nami dalszej dyskusji o tym, co się stało, *señor* pułkowniku. Jak tylko zakończę swoją misję, będę miał zaszczyt być do pańskich usług. Teraz, jeśli nic pana tu nie zatrzymuje, razem udajmy się do Galveston.

– Z przyjemnością przyjmuję pańską ofertę. Zawarliśmy rozejm, więc do otrzymania nowych rozkazów traktuj mnie jak jednego ze swoich przyjaciół.

– Więc postanowione. Byłem pewny, że dojdziemy do porozumienia. Zatem na koń i ruszamy w drogę!

– Nie proszę o nic lepszego, ale chciałbym zauważyć, że jest dopiero połowa nocy.

– Co chce pan przez to powiedzieć...?

– Że do wschodu słońca, a może nawet później, nie uda nam się znaleźć łodzi, by zabrała nas na wyspę.

– Niech to pana nie martwi, pułkowniku. Czeka na mnie łódź, w której z przyjemnością zaoferuję panu miejsce.

– Hm! Wszystkie wasze działania są dobrze podejmowane, *señores* rewolucjoniści – nic nigdy was nie zawodzi.

– Przyczyna jest bardzo prosta. Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Przyznaję, że byłbym ciekawy się dowiedzieć.

– To dlatego, że do tej pory apelowaliśmy do serc naszych zwolenników, a nie do ich portfeli. Nienawisć do meksykańskiej dominacji zmienia każdego inteligentnego człowieka w oddanego zwolennika; nadzieja na wolność daje nam wszystko, czego nam brakuje. Oto cały sekret. Dobrze pan wie, pułkowniku, że duch walki jest wrodzony ludzkiemu sercu: powstanie lub opozycja, jak pan woli, to nic innego jak zorganizowany duch walki.

– To prawda – odparł ze śmiechem pułkownik.

Dwaj wrogowie, chwilowo przyjaciele, wsiedli na konie i odjechali ramię w ramię.

– Ma pan bardzo osobliwe poglądy i opinie – powiedział pułkownik, rozbawiony uwagą Amerykanina.

– Mój Boże, nie! – odpowiedział ten ostatni beztrząsco. – Te idee i opinie nie są niczym innym jak owocem długiego doświadczenia. Nie wymagam od człowieka więcej, niż pozwala mu na to jego organizacja, i jestem pewny, że nigdy się nie pomylę. Założmy więc, że Meksykanie zostali wypędzeni z kraju, a rząd Teksasu zorganizował się i funkcjonuje regularnie...

– Dobrze! – odparł pułkownik, śmiejąc się. – Co się wtedy stanie?

– To nieuchronnie się wydarzy – odpowiedział beznamiętnie Amerykanin. – Jutro lub kiedy indziej jakiś gorączkowy lub ambitny człowiek wyjdzie z tłumu i powstanie przeciwko rządowi. Natychmiast zdobędzie zwolenników, którzy uczynią z niego sztandar, a ci sami ludzie, którzy dziś są gotowi z największym poświęceniem przełać za

nas krew, zrobią to samo dla niego, nie dlatego, że mają coś do zarzucenia temu rządowi, który chcą obalić, ale tylko z powodu tego wspomnianego już przeze mnie ducha walki.

– Ach, coś takiego, to bardzo mocne! – wykrzyknął pułkownik, wybuchając śmiechem.

– Nie wierzysz mi? Cóż, posłuchaj tego. Ja, mówiący do ciebie, znałem kiedyś człowieka, mniejsza z tym w jakim kraju, cały czas zajmującego się spiskowaniem. Pewnego dnia, na szczęście, udało mu się, nie wiedzieć czemu i jak, zająć najwyższe stanowisko w republice, coś w rodzaju prezydenta. Wiesz, co zrobił, gdy tylko doszedł do władzy?

– *Canarios!* Próbował ją utrzymać, to oczywiste.

– Zupełnie nie zgadłeś! Wręcz przeciwnie, spiskował coraz bardziej, i to tak, że obalił sam siebie i został skazany na dożywotnie więzienie.

– No i co dalej...?

– To, że gdyby człowiek, który zastąpił go u władzy, nie udzielił mu amnestii, najprawdopodobniej umarłby w więzieniu.

Obaj mężczyźni wciąż śmiali się z ostatniego żartu Johna Davisa, gdy ten zatrzymał się i skinął na pułkownika, by poszedł za jego przykładem.

Ten posłusznie ruszył za nim.

– Jesteśmy już na miejscu? – zapytał.

– Mniej więcej. Widzisz tę łódź kołyszącą się u stóp klifu?

– Tak, widzę ją!

– No więc dobrze! To ta, która zabierze nas do Galveston.

– A nasze konie?

– Nie martw się. Pan tego nędznego rancza dobrze się nimi opiekuje.

John Davis przyłożył gwizdek do ust i dmuchnął dwa razy, wydobywając ostry, urywany dźwięk.

Niemal natychmiast drzwi rancza otworzyły się i pojawił się w nich jakiś człowiek. Ale po zrobieniu jednego kroku do przodu natychmiast zrobił dwa do tyłu, bez wątpienia zdumiony widokiem dwóch osób, podczas gdy spodziewał się tylko jednej.

– Halo! Halo, Jaleo! – zawołał John Davis. – Nie wracaj, na Boga!

– Czy to ty? – zapytał.

– Tak, chyba że to diabeł zabrał mi twarz.

Rybak pokiwał głową z niezadowoloną miną.

– Nie żartuj w ten sposób, Johnie Davis! Noc jest ciemna, a morze wzburzone, więc diabeł jest tam dzisiaj.

– Dalej, dalej, stary kaszalocie! – zawołał Amerykanin. – Przygotuj swoją łódź, nie mamy czasu do stracenia. Ten *señor* jest moim przyjacielem. Czy masz w *corralu* alfalfę dla naszych koni?

– Byłoby źle, gdyby nam zabrakło! Hej, Pedrillo, chodź tu, *mucha-cho*¹! Weź konie tych *caballeros* i zaprowadź je do *corralu*.

Na to wezwanie wyszedł z rancza wysoki, chudy chłopak, ziewając, i podszedł do dwóch podróżnych. Ci już zsiadli z koni. Peon wziął konie za uzdę i odszedł z nimi nie wymawiając ani słowa.

– Wypływamy? – zapytał John Davis.

– Kiedy tylko zechcesz – odparł rybak, chrząkając.

– Mam nadzieję, że masz dość dużo ludzi?

– Moi dwaj synowie i ja, to chyba wszystko, czego potrzeba, by przeprowadzić się przez zatokę, jak się zdaje!

– Musisz wiedzieć o tym lepiej niż ja.

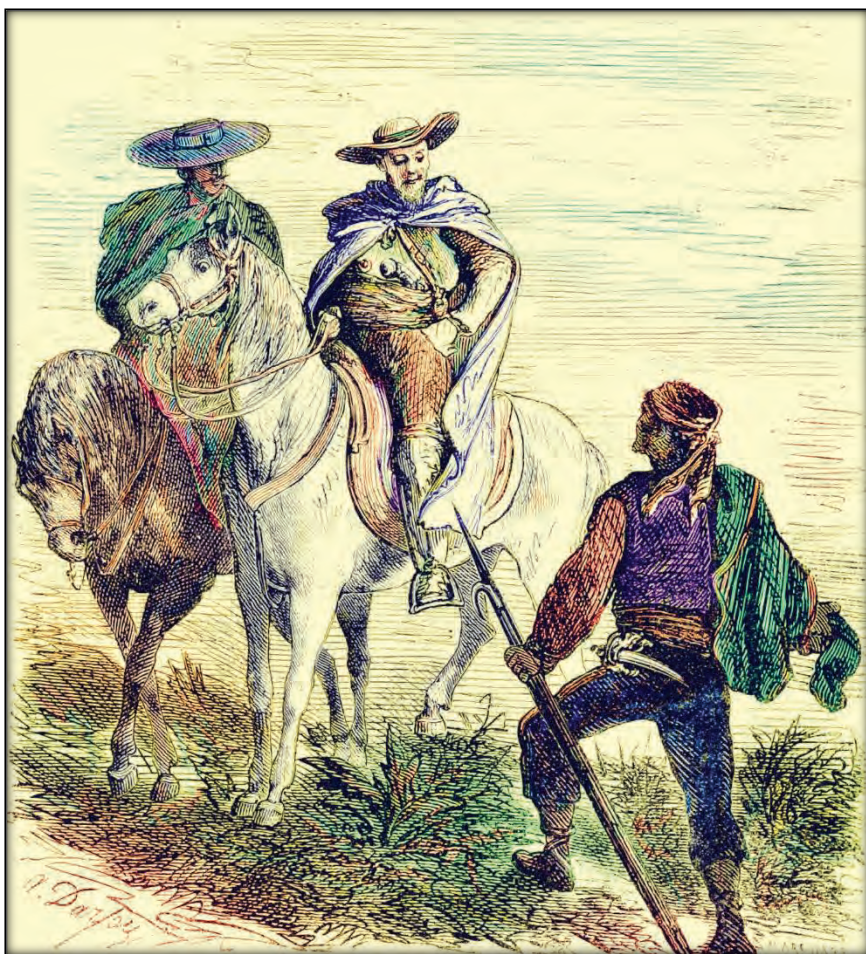
– Więc po co pytać? – odparł rybak, wzruszając ramionami i kierując się w stronę łodzi.

Dwaj mężczyźni podążyli za nim.

Rybak ich nie oszukał. Morze było wzburzone i rozhuśtane, więc przepłynięcie przez zatokę wymagało wszystkich umiejętności starego żeglarza. Jednak po dwóch godzinach gigantycznej i nieustannej pracy łódź zacumowała przy molu Galveston i wysadziła na ląd swoich pasażerów całych i zdrowych. Następnie, nie czekając na słowa podziękowania, rybak odbił od brzegu, wrócił na otwarte morze i niemal natychmiast zniknął w ciemności.

– Rozdzielamy się tutaj – powiedział John Davis do pułkownika – ponieważ każdy z nas podąża inną drogą. Jutro rano o dziewiątej będę miał zaszczyt złożyć raport generałowi. Czy mogę mieć nadzieję, że panowie mu pan o mnie wystarczająco dużo, by mógł mnie dobrze przyjąć?

¹ *Muchacho* (hiszp.) – chłopiec.



- Dalej, dalej, stary kaszalocie! – zawołał Amerykanin.
- Przygotuj swoją łódź, nie mamy czasu do stracenia.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby tak się stało.
- Dziękuję i dobranoc!
- Proszę o jedno słowo, zanim się rozdzielimy.
- Proszę mówić, pułkowniku.
- Wyznam panu, że jestem obecnie ogarnięty skrajną ciekawością.
- Względem czego?
- Chwilę przed pańskim przybyciem widziałem czterech mężczyzn wchodzących na ranczo, w pobliże którego zaprowadził mnie przypadek, niosących piątego.

– No i co?

– Kim był ten człowiek?

– Nie wiem o nim wiele więcej niż pan. Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że o jedenastej wieczorem został znaleziony umierający na plaży przez niektórych z naszych ludzi umieszczonych w łodzi na brzegu, aby obserwować zatokę. Nie wiem, kim jest i skąd pochodzi. Tylko tyle, że ten człowiek był mocno poraniony. Kiedy go zabrali, wciąż trzymał topór w zaciśniętej dłoni, co pozwala mi przypuszczać, że był jednym z członków załogi korwety „Libertad”, tak szczęśliwie przejętej przez naszą załogę. To jedyne informacje, jakie mogę panu przekazać. Czy to wszystko, co chce pan wiedzieć?

– Jeszcze jedno słowo. Kim jest człowiek widziany przeze mnie na ranczo i któremu ludzie przebywający razem z nim w pokoju, nadali imię *don Benito*?

– Jeśli chodzi o niego, wkrótce go pan pozna. Jest najwyższym przywódcą teksańskiej rewolucji. Nie wolno mi powiedzieć nic więcej. Do widzenia, do zobaczenia jutro o dziewiątej u generała.

– To uzgodnione.

Obaj mężczyźni po uprzejmym pożegnaniu się rozstali się i weszli do miasta, każdy w przeciwną stronę. Pułkownik udał się do swojego domu, a John Davis, najprawdopodobniej, aby poprosić o gościnę jednego z wielu konspiratorów przebywających w Galveston.



Rozdział II

Transakcja

 szybkości, z jaką rozprzestrzeniają się złe wieści, tkwi tajemnica pozostająca do tej pory niezrozumiała. Wydaje się, jakby prąd elektryczny unosił je w swoim zawrotnym wirze i czerpał złośliwą przyjemność z rozsiewania ich wszędzie na swojej drodze.

Jaguar i El Alferéz podjęli najbardziej drobiazgowe środki ostrożności, aby zapewnić, że ich podwójna wyprawa pozostanie tajemnicą, a jej sukces pozostanie nieznany, dopóki nie będą mieli czasu na poczynienie pewnych ustaleń niezbędnych do zapewnienia powodzenia tych ryzykownych prób. Szlaki komunikacyjne w tamtym czasie były niezwykle rzadkie i trudne i nadal są. Tylko jeden człowiek, pułkownik Melendez, wiedział mniej więcej co się stało i widzieliśmy, że nie mógł nic powiedzieć w tym temacie. Jednak zaledwie dwie godziny po opisanych przez nas wydarzeniach nie wiadomo skąd przybyła i rozeszła się po mieście niejasna plotka.

Ta wieść, przypominająca wzburzone morze, narastała z każdą chwilą i osiągnęła ogromne rozmiary, ponieważ jak to zwykle bywa w takich okolicznościach, prawda, utopiona w masie absurdalnych i niemożliwych do pojęcia szczegółów, zniknęła prawie całkowicie, pozostawiając na swoim miejscu monstrualny zbiór wiadomości, każda głupsza od poprzedniej, ale bardziej przerażająca ludność i pogrążająca ją w skrajnym niepokoju.

Między innymi twierdzono, że powstańcy nacierają na miasto z potężną flotą składającą się z dwudziestu pięciu statków przewożących dziesięć tysięcy żołnierzy oddziałów desantowych, dobrze wyposażonych w armaty i amunicję wszelkiego rodzaju.

Mówiono o natychmiastowym zbombardowaniu Galveston przez powstańców, których silne oddziały miały przeczesywać okolicę

w celu przechwycenia jakiegokolwiek komunikacji między miastem a stałym lądem.

Strach nigdy nie kalkuluje ani nie jest rozsądny. Pomimo faktu, że zebranie tak dużej floty i armii było przez powstańców fizycznie niemożliwe, nikt nie kwestionował prawdziwości tych wiadomości, a mieszkańcy, z niepokojem wpatrując się w morze, wyobrażali sobie, że z każdą mewą, której skrzydło zabieliło się na horyzoncie, pojawi się awangarda teksańskiej floty.

Generał Rubio również był bardzo zaniepokojony. Chociaż nie do końca wierzył w te głupie plotki, tymczasem jedno z tych sekretnych przeczuć, nigdy nie zawodzących, ostrzegało go, że szykują się poważne wydarzenia, i że wkrótce niczym uderzenie pioruna wybuchną w mieście.

Przedłużająca się nieobecność pułkownika, której przyczyny nie były znane generałowi, potęgowała jego niepokój. Sytuacja była jednak zbyt napięta, by generał nie próbował wybrnąć z niej wszelkimi możliwymi sposobami, a przynajmniej odeprzeć ciągle narastającą burzę.

Niestety, pod względem położenia i handlu Galveston jest miastem całkowicie amerykańskim, a element meksykański jest obecny w nim tylko w bardzo niewielkich proporcjach. Generał bez wątpienia wiedział, że firmy handlowe będące głównie w rękach Amerykanów z Północy, sympatyzowały z rewolucją i tylko czekały na sprzyjającą okazję, by zdjąć maskę i otwarcie się zadeklarować po jej stronie. Sama ludność meksykańska wcale nie pragnęła ryzyka oblężenia, gdyż wołała je od walki zawsze będącej szkodliwą dla interesów handlowych, jakiś rodzaj porozumienia, bowiem ono, wręcz przeciwnie, chroniłoby ich interesy. Kapitał nie ma ojczyzny, więc biorąc rzecz od strony politycznej, mieszkańców Galveston niewiele obchodziło, czy są Teksańczykami, czy Meksykanami, o ile nie zostaną zrujnowani, co było dla nich najważniejsze.

Pośród całego tego egoizmu i przeciągania liny generał był tym bardziej zakłopotany faktem, że miał do dyspozycji jedynie niezwykle słabe siły zbrojne, niezdolne do utrzymania ludności w ryzach, gdyby ta okazała najmniejszą skłonność do buntu.

Po bezskutecznym oczekiwaniu do jedenastej wieczorem na powrót pułkownika, który oczywiście się nie pojawił, generał postanowił wezwać do swojego domu najbardziej wpływowych kupców w mieście, aby omówić z nimi sposoby zabezpieczenia interesów wszystkich i, jeśli to możliwe, wprowadzenia miasta w stan obrony.

Kupcy odpowiedzieli na wezwanie generała i przyjęli jego zaproszenie z zapałem wydającym się być pomyślnym dla kogoś mniej obeznanego z amerykańskim charakterem, ale który dla generała miał odwrotny skutek.

Około wpół do pierwszej w nocy salon generała był pełen. Zebrało się tam około trzydziestu kupców, elita społeczeństwa Galveston.

Jego Ekscelencja *don* José-Maria Rubio był przede wszystkim człowiekiem czynu, szczerym, lojalnym i we wszystkim przekonany, że najlepszym sposobem postępowania jest działanie bez ogródek i przechodzenie od razu do rzeczy. Po wstępnych komplementach zabrał głos i bez żadnego kręcenia czy słabości jasno i jednoznacznie wyjaśnił sytuację i poprosił o wsparcie znamienitych mieszkańców miasta, aby odeprzeć grożące mu niebezpieczeństwa, stawiając sobie za cel, jeśli to wsparcie zostanie zapewnione, przeciwstawienie się całej armii rewolucyjnej i zmuszenie jej do wycofania się.

Kupcy nie spodziewali się takiej prośby – dosłownie ich ogłuszyła. Przez kilka chwil nie wiedzieli, co powiedzieć. W końcu, po naradzeniu się ze sobą przyciszonymi głosami, najstarszy i najbardziej wpływowy z nich wziął na siebie obowiązek udzielenia odpowiedzi w imieniu wszystkich i przemówił z tą udawaną szczerością będącą esencją anglo-amerykańskiego charakteru, szczerością udawaną, ukrywającą tak wiele dwulicowości i na którą czasami pozwalają sobie tylko ludzie nieznający mieszkańców Stanów Zjednoczonych.

W młodości ten urodzony w Tennessee kupiec wykonywał prawie wszystkie mniej lub bardziej haniebne prace, dzięki którym w Nowym Świecie udaje się w tak krótkim czasie zgromadzić wszystkie elementy wielkiej fortuny. Po przybyciu do Teksasu jako handlarz niewolników, stopniowo rozszerzał swoją działalność; następnie stał się spekulantem, handlarzem zbożem i kto wie, kim jeszcze! Krótco

mówiąc, pracował tak ciężko, że w mniej niż dziesięć lat stał się posiadaczem kilku milionów dolarów.

Moralnie był starym lisem bez wiary i stosowania prawa, Grekiem z instynktu i Żydem z temperamentu. Nazywał się Lionel Fisher, był niski i otyły, wyglądał na ledwie sześćdziesiątkę, choć już dawno przekroczył ten wiek i zbliżał się do siedemdziesiątki.

– Panie generale – powiedział uniżonym tonem, przywitawszy się z tą wyniosłą pokorą wyróżniającą parweniuszy – jesteśmy niezmiernie zasmuceni nieszczęsnymi wiadomościami, które Wasza Ekscelencja uznał za konieczne nam przekazać. Nikt nie uczestniczy bardziej niż my w nieszczęściach naszego nieszczęśliwego kraju. Z głębi duszy ubolewamy nad sytuacją, w jakiej nagle znalazł się Teksas, ponieważ będziemy pierwszymi, których fortuny i sympatie ucierpią. Chcielibyśmy, kosztem największych poświęceń, zapobiec klęskom i zażegnać grożącą nam straszliwą katastrofę. Ale niestety, co możemy zrobić?! Nic. Pomimo naszej dobrej woli i gorącego pragnienia udowodnienia Waszej Ekscelencji, że wszystkie nasze sympatie są z nim, nasze ręce są związane. Nasza pomoc, daleka od bycia użyteczną dla rządu meksykańskiego, byłaby dla niego szkodliwa w tym sensie, że motłoch i ludzie bez czci, którzy roją się we wszystkich portach i są w większości w Galveston, szczęśliwi, że znaleźli pretekst do nieporządku, natychmiast zbuntowaliby się, pozornie w obronie powstania, ale w rzeczywistości w celu splądrowania naszych majątków! Ten wzgląd zmusza nas, wbrew nam samym, do zachowania neutralności.

– Pomyślcie, *señores* – odpowiedział generał – że ofiara, o którą was proszę, nie jest dla was nieszczęściem. Niech każdy z was da mi tysiąc piastrow. Nie jest to zbyt wiele, jak sądzę, aby zagwarantować całość waszego kapitału i waszych towarów! Za zebraną sumę jestem zdecydowany uchronić was przed jakąkolwiek krzywdą, werbując wystarczającą liczbę ludzi, aby uczynić bezużyteczną każdą ekspedycję powstańców próbujących zaatakować miasto.

Na tę prośbę, uczynioną tak niespodziewanie, na twarzach kupców ukazał się okropny grymas, lecz tego generał zdawał się nie zauważać.

– Nie ma nic wygórowanego w ofercie, o którą proszę w tej chwili – kontynuował. – Czy to nie jest sprawiedliwe, że w godzinie zagrożenia powinniście przyjść z pomocą rządowi, pod którego opieką się wzbogaciliście i który, choć miałby do tego pełne prawo, nigdy niczego od was nie żądał?

Postawieni przed tym dylematem kupcy nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Nie mieli zamiaru dawać swoich pieniędzy na obronę sprawy, którą ich tajne wysiłki, wręcz przeciwnie, prowadziły by ją zniszczyć, ale naciskani w ten sposób przez generała, byli skrajnie zakłopotani. Nie odważyli się odmówić wprost, a co dopiero powiedzieć „tak”. To niezwykle fakt, a jednak prawdziwy, że to właśnie najłatwiej się wzbogacający ludzie zazwyczaj najbardziej trzymają się swoich fortun!

Ze wszystkich ludów Nowego Świata, mieszkańcy Ameryki Północnej są jedynym ludem najbardziej kochającym pieniądze. Wyznaje on głęboką miłość do tego dobra. Dla niego pieniądze są wszystkim. Aby zarobić pieniądze bez wyrzutów sumienia i litości poświęci krewnych i przyjaciół. To właśnie Amerykanie z Północy wymyślili to samolubne i bezduszne przysłowie w rzeczywistości ujawniające charakter tego ludu: *Czas to pieniądz*. Poproś Amerykanina z Północy o cokolwiek, a on ci to da; ale nie pożyczaj mu ani dolara, bo odmówi ci bez względu na to, jak wielkie były jego wcześniejsze zobowiązania wobec ciebie.

Wielkie amerykańskie bankructwa, które kilka lat temu zbulwersowały Stary Świat swoją cyniczną zuchwałością, przekonały nas co do uczciwości handlowej tego narodu, który w swoich transakcjach nigdy nie mówi „tak” i boi się tak bardzo pozwolić swoim myślom dać się przeniknąć, że nawet w najbardziej frywolnych rozmowach jego członkowie, w obawie przed skompromitowaniem się oświadczeniem, mówią w każdym zdaniu: *przypuszczam, wierzę, myślę*.

Generał Rubio od dłuższego czasu przebywający w Teksasie był przyzwyczajony do codziennych kontaktów z Amerykanami i doskonale wiedział, jak powinien z nimi postępować, więc nie zwracał uwagi na ich zakłopotane zaprzeczenia, zapewnienia oddania czy pochmurne twarze. Dał im kilka minut do namysłu i widząc, że nie są w stanie

zmusić się do odpowiedzi, przemówił ponownie, swoim najspokojniejszym głosem i najbardziej czarującą miną.

– Widzę, *señores* – powiedział – że powody, które miałem zaszczyt wam wyjaśnić, nie miały szczęścia przekonać was i naprawdę jestem tym zirytowany. Niestety, znaleźliśmy się w jednym z tych fatalnych kryzysów, kiedy długie rozważania są niemożliwe. Odkąd prezydent republiki uczynił mi zaszczyt mianowania mnie wojskowym przywódcą tego państwa, zawsze starałem się was zadowolić i nie sprawiać, byście zbyt mocno odczuli ciężar powierzonej mi władzy, biorąc na siebie w wielu okolicznościach złagodzenie tego, co otrzymywane od wysoko postawionych osobistości rozkazy czyniły zbyt twardymi. Ośmielam się wierzyć, że z przyjemnością oddacie mi tę sprawiedliwość, że zawsze widzieliście mnie uprzejmego i dobrego dla was.

Kupcy naturalnie zaprotestowali.

Generał kontynuował:

– Niestety, tak dłużej być nie może. W obliczu waszej upartej i niepatriotycznej odmowy, której tak stanowczo mi udzielacie, jestem zmuszony, ku mojemu wielkiemu żalowi, wykonać co do joty otrzymane rozkazy, rozkazy dotyczące was, *señores*, i których, powtarzam, ku mojemu wielkiemu żalowi, nie jestem w stanie złagodzić.

Kupcy zadrżeli na to oświadczenie wypowiedziane drwiącym głosem, i zdali sobie sprawę, że generał przygotowuje się do dokonania błyskotliwej zemsty. Chociaż nie wiedzieli jeszcze, co się wydarzy, zaczęli żałować, że przyjęli zaproszenie jakie do nich wystosowano i tak głupio weszli do jaskini lwa.

Generał wciąż się uśmiechał, ale w wyrazie jego twarzy było coś ostrego i szyderczego, co było dalekie od uspokojenia ich.

W tym momencie zegar stojący na konsoli wybił godzinę drugą.

– *Caramba!* – powiedział generał. – Czy jest już tak późno? Jak ten czas leci w waszym sympatycznym towarzystwie! *Señores*, musimy z tym skończyć. Byłbym zrozpaczony, gdybym dłużej trzymał was z dala od waszych rodzin, zwłaszcza że musicie odczuwać pragnienie odejścia.

– W rzeczy samej – wyjął kupiec do tej pory przemawiający w imieniu wszystkich. – Jakkolwiek przyjemność sprawia nam przebywanie tutaj...

– Jeszcze większą przyjemność sprawiłoby wam przebywanie gdzie indziej – odparł ze śmiechem generał. – Doskonale to rozumiem, *don* Lionelu, więc nie będę dłużej nadwyręzał twojej cierpliwości. Potrzebuję jeszcze tylko kilku minut, a potem zostawię wam wolną rękę, więc ponownie usiądźcie.

Handlarze posłusznie usiedli, potajemnie wymieniając rozpaczliwe spojrzenia.

Tej nocy generał wydawał się być głuchy i ślepy, nic nie widział i nic nie słyszał. Zadzwoił dzwonkiem.

Po tym sygnale drzwi otworzyły się i wszedł oficer.

– Kapitanie Saldana, czy wszystko gotowe? – zapytał generał.

– Tak, generale – odpowiedział oficer, kłaniając się z szacunkiem.

– *Señores* – kontynuował gubernator – otrzymałem od rządu meksykańskiego rozkaz nałożenia podatku w wysokości sześćdziesięciu tysięcy piastrow na bogatych kupców tego miasta. Jak wiecie, *señores*, żołnierz może być tylko posłuszny! Podjąłem się jednak zredukowania tej opłaty o połowę, pragnąc, na ile to było w mojej mocy, udowodnić wam aż do ostatniej chwili, jak bardzo mi na was zależy. Przykro mi, że nie zechcieliście mnie zrozumieć, ale teraz pozostaje mi tylko być posłusznym. Tutaj jest rozkaz – dodał, biorąc ze stołu kartkę papieru i rozkładając ją. – Jestem jednak skłonny dać wam jeszcze pięć minut na podjęcie decyzji, ale potem będę musiał wypełnić swój obowiązek, a znacie mnie wystarczająco dobrze, *señores*, by wiedzieć, że zrobię to bez względu na koszty.

– Ależ, generale – zaryzykował stary kupiec – Wasza Ekscelencja pozwoli zwrócić sobie uwagę, że ta suma jest ogromna!

– Dajcie spokój, *señores*! Jest was trzydziestu: to tylko dwa tysiące piastrow na głowę, co dla was jest błahostką. Zaproponowałem, że ściągnę z was tylko połowę, ale nie chcieliście.

– Od kilku lat interesy idą bardzo źle, a pieniędzy jest coraz mniej!

– Komu ty to mówisz, *don* Lionel? Wydaje mi się, że wiem lepiej niż ktokolwiek inny.

– Może gdybyś dał nam miesiąc lub dwa tygodnie czasu. Łącząc wszystkie nasze zasoby i dokonując ogromnych poświęceń, zdołalibyśmy uciuć drugą połowę tej sumy.

– Niestety, nie mogę wam dać nawet jednej godziny!

– Ależ generale, to niemożliwe!

– Nonsens! Jestem pewny, że jeszcze się nad tym nie zastanowiliście. Poza tym nic mnie to nie obchodzi. Prosząc was o te pieniądze wykonuję otrzymane rozkazy. Teraz do was należy decyzja czy zechcecie się zgodzić, czy nie. Osobiście zupełnie nie wchodzę w tę sprawę.

– Naprawdę, generale – kontynuował stary kupiec, mimo całej swej finezji oszukany tonem głosu gubernatora – naprawdę niemożliwe jest, abyśmy dali nawet najmniejszą kwotę.

Wszyscy pochyliли głowy w geście zgody, przyłączając się do słów starszego człowieka.

– Bardzo dobrze – kontynuował generał, wciąż chłodnym kpiącym tonem – to zrozumiałe. Tylko nie uczynicie mnie odpowiedzialnym za konsekwencje, jakie ta odmowa może mieć dla was, prawda?

– Och, generale, chyba pan tak nie myśli!

– Dziękuję! Kapitanie, słyszał pan? – dodał, zwracając się do oficera stojącego przy drzwiach. – Rozkaż wejść oddziałowi.

– Tak, panie generale – odparł oficer i wyszedł.

Handlarze jęknęli z przerażenia. Ten tajemniczy rozkaz dał im wiele do myślenia, a ich niepokój wzmógł dźwięk broni na patio i ciężkie kroki zbliżającego się oddziału.

– Co to ma znaczyć, generale? – zawołali przerażeni. – Wpadliśmy więc w zasadzkę?

– Co masz na myśli? – odpowiedział gubernator. – Och, przepraszam! Zapomniałem wam powiedzieć o końcu tego rozkazu, szczególnie was dotyczącego. Zostałem poinstruowany, aby zastrzelić każdego, kto odmówi podpisania pożyczki wymaganej przez rząd, aby poradzić sobie z ekstremalnymi kłopotami powodowanymi przez złośliwe elementy.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i oddział pięćdziesięciu mężczyzn w milczeniu ustawił się za amerykańskimi kupcami, otaczając ich ze wszystkich stron.

Ci byli bardziej martwi niż żywi; myśleli, że śnią straszny sen, że padli ofiarą okropnego koszmaru.

Pewni, że generał nie zawaha się spełnić swojej groźby, kupcy nie wiedzieli, jak wybrnąć z tej trudnej sytuacji.

Tymczasem gubernator nie zmienił nic w swoim zachowaniu. Miał tak samo łaskawą minę jak zawsze, a głos tak samo łagodny.

– Dalej, *señores* – powiedział – przyjmijcie wyrazy mojego najgłębszego żalu. Kapitanie, zabierz tych dżentelmenów i potraktuj ich z całą uprzejmością, jakiej wymaga ich smutna sytuacja.

Następnie skłonił się i ruszył do wyjścia.

– Chwileczkę, na Boga! – zawołał stary kupiec, zdruzgotany zbliżającą się śmiercią. – Generale, czy nie ma sposobu na załatwienie tej sprawy?

– Znam tylko jeden: zapłacić!

– Wiem o tym – odrzekł kupiec z westchnieniem – ale niestety, jesteśmy zrujnowani!

– Co mogę z tym zrobić? Wiedzie o tym i sami to przyznaliście, że całkowicie jestem wyłączony z tego nieszczęsnego interesu.

– Niestety! – zawołali chórem biedni kupcy. – Nie może nas pan tak zabić, generale! Jesteśmy ojcami, co stanie się z naszymi dziećmi i żonami?

– Żal mi was, ale niestety to wszystko, co mogę zrobić.

– Generale, w imię tego, co jest ci najdroższe, miej litość! – wołali, rzucając mu się do kolan. – Błagamy cię!

– Jestem naprawdę zrozpaczony tym, co się dzieje, chciałbym przyjść wam z pomocą. Niestety nie widzę środków, a poza tym wcale mi nie pomagacie.

– Niestety! – powtarzali, szlochając i splatając dłonie w rozpacz.

– Wiem, nie macie pieniędzy, w tym tkwi trudność, trudność nie do pokonania, wierzcie mi. Jednak zobaczmy – dodał, zdając się zastanawiać.

Biedacy czujący tak blisko nich śmierć, spojrzeli na niego oczami błyszczącymi nadzieją.

Zapadła dość długa cisza, podczas której można było usłyszeć bicie serca w piersiach wszystkich tych ludzi wiedzących, że ich życie

lub śmierć zależą od człowieka trzymającego ich tam dyszących pod swoim spojrzeniem.

– Słuchajcie – kontynuował – oto wszystko, co mogę dla was zrobić i uwierzcie, że robiąc to, co robię, biorę na siebie ogromną odpowiedzialność. Jest was trzydziestu, prawda?

– Trzydziestu, tak, panie – zawołali jednym głosem.

– Cóż, tylko dziesięciu z was zostanie rozstrzelanych! Wybierzcie ich spośród siebie. Ci, których wybieriecie, zostaną zabrani na patio i natychmiast zabici. Teraz nie proszę mnie o nic więcej, bo będę zmuszony wam odmówić! Abyście mieli tyle czasu, ile potrzebujecie na dokonanie wyboru, daję wam dziesięć minut.

Ostatnia uwaga generała była niezaprzeczalnie zręczna. Zrywając tą decyzją porozumienie do tej pory panujące między kupcami, stawiając ich przeciwko sobie, był pewny, że osiągnie rezultat, którego inaczej prawdopodobnie nie byłby w stanie osiągnąć. Ponieważ wolimy przypuszczać ze względu na honor generała, którego kariera do tej pory była wolna od ekscesów i czynów tego rodzaju, że groźba śmierci była jedynie środkiem zastosowanym w celu zobowiązania tych ludzi, wiedząc o nich, że są przeciwni reprezentowanemu przez niego rządowi, aby zmusić ich do poluzowania sznurków ich sakiewek, że się tak wyrażę, i że nie byłby tak okrutny, by popchnąć sprawę do skrajności, a tym samym rozstrzelać z zimną krwią trzydziestu najbardziej szanowanych ludzi w mieście.

Niezależnie od intencji generała Rubio, Amerykanie uwierzyli w jego słowa i podjęli odpowiednie działania.

Po dwóch czy trzech minutach wahania, kupcy jeden po drugim zaczęli wyrażać zgodę na pożyczkę. Tylko że to ich zwlekanie kosztowało każdego z nich tysiąc piastrow.

To była duża kwota! Trzeba więc przyznać, że zgodzili się z wielką niechęcią. Ale żołnierze byli tam gotowi do posłuszeństwa na najmniejszy znak od swojego przywódcy, karabiny były załadowane, a patio było tylko o dwa kroki! Nie było więc odwrotu.

Jednak generał nie odpuścił im tak łatwo. Amerykanie byli po kolei prowadzeni do swoich domów przez czterech żołnierzy dowodzonych

przez oficera, którego rozkazem było zastrzelenie więźnia przy pierwszej próbie ucieczki. Dopiero gdy generał miał w rękach dwa tysiące piastków, drugi więzień był odsyłany do domu w ten sam sposób. Trwało to tak długo, aż zebrano całą sumę.

Tylko stary Lionel i generał pozostali w salonie.

– Och, panie! – powiedział kupiec z wyrzutem. – Jak to możliwe, że pan, który do tej pory był dla nas tak dobry, pomyślał o popełnieniu takiego okrucieństwa?

Generał roześmiał się.

– Myślisz, że ja bym to zrobił? – zapytał, wzruszając ramionami.

Kupiec z rozpaczą uderzył się w czoło.

– Ach! – zawołał. – Jesteśmy idiotami.

– Do diabła! Więc macie o mnie tak fatalną opinię? *Caramba, señor*, nigdy nie robię takich rzeczy.

– Ech! To jest nas dwóch – odrzekł kupiec ze śmiechem.

– Jak to?

– Do licha, jeszcze nie zapłaciłem!

– Co chcesz mi powiedzieć...?

– Że skoro już wiem, na czym stoję, to nie zapłacę.

– Ech, uwierzyłem ci na słowo, że jesteś mądrzejszy.

– Ale dlaczego?

– Jak to?! Nie rozumiesz, że można wzbraniać się przed egzekucją trzydziestu osób, ale gdy chodzi o człowieka, który, tak jak ty, ma na sumieniu wiele występków, jego egzekucja będzie uważana za akt sprawiedliwości i nie zawahamy się?

– Więc zastrzeliłbyś mnie?

– Bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Generale, jest pan zdecydowanie silniejszy ode mnie!

– Pochlebia mi pan, *señor* Lionel.

– Nie, mówię, co myślę. Dobra robota!

– Jest pan znawcą.

– Dziękuję – odparł kupiec ze skromnym uśmiechem. – Aby oszczędzić panu kłopotu z egzekucją, zrobię to sam – dodał, grzebiąc radośnie w bocznej kieszeni ubrania.



– Więc zastrzelilibyś mnie?

Wyjął z niej portfel wypchany banknotami Banku Anglii, odliczył sumę dwóch tysięcy piastków i położył pieniądze na stole.

– Pozostaje mi tylko podziękować – powiedział generał, biorąc banknoty.

– Ja również dziękuję, Ekszelencjo – odpowiedział Lionel.

– Dlaczego?

– Ponieważ dał mi pan lekcję, z której przy okazji skorzystam.

– Uważaj, *señor* Lionel! – powiedział generał z naciskiem. – Nie zawsze uda ci się wpaść na człowieka o tak dobrym charakterze jak ja.

Kupiec schował portfel do kieszeni, uklonił się generałowi i wyszedł.

Dochodziła trzecia. Wszystko było gotowe w niecałą godzinę.

– Nawiasem mówiąc, biedne istoty, ci *gringos*! – powiedział generał, gdy tylko został sam. – Och! gdybyśmy nie musieli zajmować się góralami i chłopami, łatwo kupilibyśmy tych ludzi.

– Generale – powiedział adiutant, otwierając drzwi – pułkownik Melendez pyta, czy mimo późnej pory zechce go pan przyjąć.

– Pułkownik Melendez jest tutaj?! – wykrzyknął zdumiony generał.

– Właśnie przyjechał, generale. Czy może wejść?

– Oczywiście, niech wejdzie, niech wejdzie natychmiast!

Po kilku minutach pojawił się pułkownik.

– Nareszcie jesteś! – wykrzyknął generał, wychodząc mu na spotkanie. – Myślałem, że nie żyjesz albo jesteś więźniem.

– Mało brakowało, aby jedno lub drugie mi się przytrafiło.

– Ho! ho! Czy to, co masz mi do powiedzenia, jest ważne?

– Bardzo prawdziwe i bardzo ważne, generale.

– Do diabła! Usiądź, przyjacielu i porozmawiajmy.

– Po pierwsze, generale – odpowiedział pułkownik – czy wie pan, gdzie jesteśmy?

– Co pan przez to rozumie?

– Mój Boże! Generale, nic poza tym, że być może nie jest pan świadomy pewnych wcześniejszych wydarzeń.

– Wydaje mi się, że słyszałem o pewnych poważnych wydarzeniach, ale nie wiem dokładnie, co się stało.

– Więc słuchaj pan! Korweta „Libertad” jest w rękach powstańców.

– Niemożliwe! – wykrzyknął generał, podrywając się z fotela.

– Generale – odparł smutnym głosem młody oficer – mam panu do przekazania jeszcze gorszą wiadomość!

– Wybacz, przyjacielu, być może się mylę, ale wydaje mi się raczej nieprawdopodobne, by podczas tej przyjemnej podróży, z której właśnie wróciłeś, udało ci się uzyskać tak pewne informacje.

– Generale, powstańcy nie tylko zajęli korwetę „Libertad”, ale także przejęli kontrolę nad Fort Point.

– Och! – wykrzyknął generał, zrywając się na nogi. – Tym razem, pułkowniku, jesteś źle poinformowany. Fort Point jest nie do zdobycia.

– Został zdobyty w ciągu godziny przez trzydziestu piratów dowodzonych przez Jaguara.

Generał schował głowę w dłoniach z wyrazem niesamowicie wielkiej rozpacz.

– To zbyt wiele na raz! – zawołał.

– To nie wszystko – dodał stanowczo pułkownik.

– Co masz mi do powiedzenia strasznieszego niż to, co już mi oznajmiłeś?

– Coś, co sprawi, że podskoczy pan ze złości i zarumieni się ze wstydu, generale.

Stary żołnierz położył dłoń na sercu, jakby chciał powstrzymać jego szybkie bicie, i odezwał się do pułkownika:

– Mów, przyjacielu – powiedział tonem najwyższej rezygnacji – jestem gotów wysłuchać wszystkiego.

Pułkownik milczał przez kilka minut. Rozpacz dzielnego starego żołnierza przeszła jego żyły dreszczem.

– Generale – powiedział – może lepiej będzie odłożyć to, co mam do powiedzenia, do jutra. Wygląda pan na zmęczonego, kilka godzin mniej lub więcej niewiele znaczy.

– Pułkowniku Melendez – powiedział generał, rzucając młodemu oficerowi głębokie spojrzenie – w okolicznościach, w jakich się znajdujemy, minuta jest warta stulecia. Rozkazuję panu mówić.

– Powstańcy żądają pertraktacji – odparł stanowczo pułkownik.

– Pertraktacji ze mną? – odpowiedział generał z niezauważalnym odcieniem ironii w głosie. – Ci *caballeros* czynią mi wielki zaszczyt. W jakiej sprawie?

– Oni myślą, że mogą zdobyć Galveston. Ale żeby uniknąć rozlewu krwi, wolą pertraktować z panem.

Generał podniósł się i chwiejnym krokiem przez kilka minut przemierzał pokój we wszystkich kierunkach. Potem nagle zatrzymał się przed pułkownikiem:

– A ty, gdybyś był mną, co byś zrobił? – zapytał.

– Pertraktowałbym – odparł bez wahania młody oficer.



Rozdział III

Odwrót

Do tych słowach, wypowiedzianych tak szczerze, zapadła dość długa cisza.

To pułkownik pierwszy wznowił rozmowę.

– Generale – kontynuował – najwyraźniej nie wie pan nic o wydarzeniach do jakich doszło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

– Jak miałbym wiedzieć? Te powstańcze diabły zorganizowały partyzantkę, aby kontrolować teren i przechwytywać komunikację tak dobrze, że żaden z dwudziestu wysłanych przeze mnie szpiegów, nie wrócił.

– I na pewno żaden nie wróci.

– Więc co powinniśmy zrobić?

– Naprawdę pyta mnie pan o zdanie, generale?

– Na mój honor, to właśnie pańską opinię chcę poznać, ponieważ tylko pan z nas wszystkich wydaje mi się niezawodnie wiedzieć, co się dzieje.

– Rzeczywiście, jestem jedyną osobą, która wie. Więc posłuchaj mnie pan i nie pozwól, aby cokolwiek, co usłyszysz, zaskoczyło pana, ponieważ to wszystko jest prawdą. Informacje, które będę miał za szczyt panu przekazać, zostały mi przekazane przez samego Jaguara zaledwie trzy godziny temu, przy Salto del Frayle, gdzie zaprosił mnie, abym przybył w celu omówienia spraw całkowicie niezwiązanych z kwestią polityczną.

– Bardzo dobrze – odpowiedział generał z lekkim uśmiechem. – Mów dalej, słucham z największą uwagą.

Pułkownik poczuł, że rumieni się pod delikatnie ironicznym spojrzeniem swojego szefa. Otrząsnął się jednak i kontynuował:

– W dwóch słowach, jaka jest nasza pozycja. Podczas gdy kilku zde-terminowanych ludzi, wspomaganych przez prywatny bryg pod amerykańską banderą, zaskoczyło korwetę „Libertad”...

– Korwetę „Libertad”, jeden z najpiękniejszych okrętów naszej marynarki! – przerwał generał z westchnieniem.

– Tak, generale, niestety to już fakt dokonany. Podczas gdy to się działo, inni powstańcy, dowodzeni przez samego Jaguara, wdarli się do Fort Point i zajęli go prawie bez walki.

– Ale to, co mi pan mówi, jest niemożliwe! – przerwał stary żołnierz gniewnym głosem.

– Nie mówię nic, co nie byłoby prawdą, generale.

– Niejasne pogłoski, które do mnie dotarły, kazały mi przypuszczać, że powstańcy zadali nam kolejną klęskę, ale daleki byłem od podejrzwania tak straszliwej katastrofy.

– Przysięgam na mój honor żołnierza, generale, że mówię tylko prawdę.

– Wierzę ci, przyjacielu, wiem, jaki jesteś odważny i godny zaufania. Ale wieści, które mi przekazujesz, są tak straszne, że wbrew sobie chciałbym w nie wątpić.

– Niestety, to niemożliwe.

Generał, ogarnięty gniewem tym straszniejszym, że był skoncentrowany, chodził szybkim krokiem po salonie, zaciskając pięści i wypowiadając półgłosem nieskładne słowa.

Pułkownik podążał za nim smutnym spojrzeniem, nie myśląc o zaoferowaniu mu żadnego z tych banalnych pocieszeń, nie tylko nie łagodzących bólu, ale wręcz przeciwnie, czyniących go żywszym i bardziej kłującym.

W końcu, po kilku minutach, generał zdołał opanować emocje na tyle, by uspokoić się i skoncentrować w sercu smutek jaki go ogarniał. Wrócił, by usiąść obok pułkownika i po przyjacielsku ujął jego dłoń.

– Nie przedstawił mi pan jeszcze swojej opinii – powiedział, starając się uśmiechnąć.

– Jeśli poważnie żąda pan, abym przemówił, zrobię to, generale – odparł młodzieniec – chociaż z góry jestem przekonany, że nasze poglądy w tej kwestii są całkowicie zbieżne.

– Prawdopodobnie tak jest, jednakże, mój drogi pułkowniku, opinia człowieka o pańskich zasługach jest zawsze cenna i byłbym ciekaw, czy rzeczywiście się z tobą zgadzam.

– Niech tak będzie, generale. Oto, co myślę. Nasze siły są niewystarczające do skutecznego wsparcia ataku. Miasto jest do nas bardzo niechętnie nastawione. Jestem przekonany, że tylko czeka na okazję, by powstać i połączyć siły z powstańcami. Z drugiej strony, głupotą byłoby zamknięcie się w mieście bez wyjścia, gdzie zostalibyśmy zmuszeni do kapitulacji, co byłoby niezatartą plamą na meksykańskiej armii. Na razie nie mamy co liczyć na pomoc ze strony rządu w Mexico, będącego zbyt zajęтым obroną przed ambitnymi ludźmi wszelkiego rodzaju nieustannie trzymającymi go w szachu, aby myśleć o skutecznym przyjsciu nam z pomocą, czy to poprzez wysłanie nam pomocy w postaci stanowczych ludzi, czy też poprzez dywersję na naszą korzyść.

– To, co mówisz, jest niestety aż nazbyt prawdziwe. Jesteśmy zmuszeni polegać tylko na sobie.

– Teraz, jeśli uparcie zamkniemy się w mieście, jest dla mnie oczywiste, że w końcu zostaniemy zmuszeni do kapitulacji. Powstańcy są panami morza, więc to tylko kwestia czasu. Z drugiej strony, jeśli opuścimy miasto z własnej woli, sytuacja stanie się znacznie prostsza.

– Ale wtedy musimy zgodzić się na układy z tymi nędznikami!

– Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, ale myślę, że możemy łatwo uniknąć tego nieszczęścia.

– W jaki sposób? Powiedz mi, powiedz mi, przyjacielu!

– Parlamentarzysta wysłany do pana przez powstańców nie może stawić się w *cabildo* przed dziewiątą rano. Co powstrzymuje pana, generale, przed ewakuacją miasta przed jego pojawieniem się?

– Hm! – rzekł generał, coraz bardziej zwracający uwagę na słowa młodego człowieka. – Sugeruje pan, żebyśmy uciekł?

– Wcale nie – odparł pułkownik. – Pamiętaj, generale, że w sprawach wojennych zasadniczo przyjmuje się, że odwrót nie oznacza ucieczki. Jeśli przejmniemy kontrolę nad terenami w kraju i pozostawimy miasto powstańcom, to przez ten umiejętny odwrót postawimy ich w tak trudnej sytuacji, w jakiej my się dziś znajdujemy. W otwartym terenie i dzięki naszej dyscyplinie będziemy w stanie, co nie byłoby możliwe tutaj, stawić czoła siłom czterokrotnie większym od naszych. Następnie, gdy w końcu otrzymamy od generała Santa Anny posiłki,

które prawdopodobnie wkrótce on sam nam przyprowadzi, wejdziemy do Galveston, bowiem powstańcy nie dadzą rady obronić się przed nami. Takie jest moje zdanie, generale, i taki plan przyjąłbym, gdybym miał zaszczyt być gubernatorem tego stanu.

– Tak – odpowiedział generał. – Przedstawiona przez ciebie opinia miałaby duże szanse powodzenia, gdyby można było ją zrealizować. Niestety, byłoby głupotą liczyć na wsparcie generała Santa Anny. On pozwoli nas zmiażdżyć, być może nie z własnej woli, ale zmuszony przez okoliczności i powstrzymany przez ciągle przeszkody stwarzane mu przez senat.

– Nie mogę podzielać pańskiej opinii w tym względzie, generale. Może być pan pewny, że senat, jakkolwiek niechętny prezydentowi republiki, nie jest bardziej zaniepokojony niż on utratą Teksasu. Co więcej, w tej sytuacji musimy uczynić cnotę z konieczności. Byłoby wielką głupotą z naszej strony czekać tutaj na uderzenie wroga.

Generał zdawał się wahać przez kilka chwil, po czym nagle podjął decyzję i zadzwonił dzwonkiem.

Pojawił się adiutant.

– Chcę tu za pół godziny mieć wszystkich starszych oficerów – powiedział. – Ruszaj!

Adiutant skłonił się i wyszedł.

– Jak chcesz, to niech tak będzie – powiedział generał, zwracając się do pułkownika. – Zgadzam się pójść za twoją radą. W każdym razie może to być jedyny sposób na uratowanie się w tej sytuacji.

W Europie, gdzie jesteście przyzwyczajeni do widoku wielkich mas ludzkich ścierających się na polu bitwy, uśmiechnęlibyśmy się, słysząc nazwę armii nadaną temu, co w naszym kraju nie byłoby nawet pułkiem. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że Nowy Świat, z wyjątkiem Ameryki Północnej, jest bardzo słabo zaludniony. Mieszkańcy są rozproszeni na ogromnych przestrzeniach, a najbardziej imponujące regularne siły rzadko osiągają liczbę pięciu lub sześciu tysięcy ludzi. Armia składa się zwykle z piętnastu do osiemnastu setek żołnierzy, w tym piechoty, kawalerii, artylerii itp. I co to są za żołnierze! Niewykształceni, słabo opłacani, słabo uzbrojeni, tylko w połowie posłuszni

przywódcom, o których wiedzą, że są tak samo niewykształceni jak oni sami, przez co naturalnie nie mają żadnego zaufania.

W Meksyku kariera wojskowa, daleka od bycia honorowaną jak we Francji, jest, przeciwnie, pogardzana, tak że oficerowie i żołnierze są na ogół splamionymi ludźmi, dla których jakakolwiek inna kariera byłaby zamknięta.

Oficerowie, z kilkoma czcigodnymi wyjątkami, to ludzie straceni z powodu długów i reputacji, tak nieznający swojego rzemiosła, że ostatni francuski kapral mógłby udzielać im lekcji.

Żołnierze rekrutują się wyłącznie spośród *leperos*, złodziei i morderców.

Armia jest zatem prawdziwą plagą dla kraju. To armia tworzy i łamie rządy przychodzące i odchodzące w Meksyku z naprawdę zawrotną prędkością, ponieważ od czasu domniemanej emancypacji ten nieszczęsny kraj przeżył prawie trzysta *pronunciamientos*, wszystkie zorganizowane w armii i przeprowadzone na korzyść oficerów, których jedynym celem był awans.

Jednak to, co tu mówimy, nie jest wcale absolutne. Znamy kilku wysoce wykształconych i honorowych meksykańskich oficerów, ale niestety ich liczba jest tak ograniczona, że są bezsilni, aby zaradzić złu i są zmuszeni cierpieć z powodu tego, czemu nie mogą zapobiec.

Generał Rubio był bez wątpienia jednym z najbardziej czcigodnych wyższych oficerów meksykańskiej armii. Widzieliśmy jednak, że nie omieszkiał on przy okazji nałożyć okup na tych samych ludzi, których jego obowiązek zobowiązywał go chronić przed wszelkimi przykrościami. To tylko jeden z tysiąca przykładów działań stosowanych przez innych generałów.

Korpus wojskowy będący pod rozkazami generała Rubio i zamknięty wraz z nim w Galveston składał się z zaledwie dziewięciuset pięćdziesięciu oficerów i żołnierzy, do których na dany sygnał mogło dołączyć około trzystu lansjerów¹ rozproszonych na małych posterunkach rozmieszczonych wzdłuż wybrzeża. Choć niezdolne do skutecz-

¹ *Lansjerzy* – w dawnych armiach lekka kawaleria uzbrojona w lance; w wojsku polskim odpowiednikiem lansjerów byli ułani.

nej obrony miasta, te dobrze kierowane siły mogły jednak przez długi czas trzymać na dystans gorzej uzbrojonych i znacznie bardziej niezdyscyplinowanych powstańców.

Generał szybko zrozumiał pełne znaczenie rady pułkownika. Plan zaproponowany przez oficera był jedynym wykonalnym i natychmiast go zaakceptował.

Musiał jednak działać szybko. Słońce wschodziło, a zaczynający się dzień był niedzielą. Ważne było, aby armia meksykańska ewakuowała miasto przed końcem mszy, to jest przed jedenastą rano, z następującego powodu:

We wszystkich stanach dopuszczających niewolnictwo, a zwłaszcza w Teksasie, istnieje dziwny zwyczaj bardzo przypominający *luperkalie*¹ ze starożytnego Rzymu. W niedziele panowie dają swoim niewolnikom całkowitą wolność. Jeden dzień z siedmiu to z pewnością niewiele, ale to dużo dla południowych stanów, gdzie niewolnictwo jest tak surowo i ściśle ustalone. Ci biedni Murzyni szukający rekompensaty za sześć dni ciężkiej niewoli, z dziecięcą radością cieszą się tymi kilkoma godzinami wakacji. Nie zważając na upał zamieniający ulice w istną łaźnię parową, rozlewają się po całym mieście, śpiewając, tańcząc lub galopując z maksymalną prędkością w przejętych od swych panów powozach.

Tego dnia miasto należało do nich, a oni robili, co im się żywnie podobało, bez niczyjej ingerencji czy prób powstrzymania ich przed takową zabawą.

Generał Rubio słusznie obawiał się, że kupcy z Galveston tak umiejętnie sprowadzeni na ziemię, spróbują zemścić się, podżegając swoich niewolników do buntu przeciwko Meksykanom, co ci prawdopodobnie zrobiliby z wielką chęcią, szczęśliwi, że znaleźli pretekst

¹ *Luperkalia* – dawne rzymskie święto religijne ustanowione przez Euandrosa i obchodzone 15 lutego, pierwotnie poświęcone Luperkusowi, pasterskiemu bogu plemion italskich chroniącemu przed wilkami; znaczącą rolę podczas Luperkaliów odgrywał kult Fauna – rzymskiego bóstwa, pół człowieka, pół kozła, z przydomkiem Luperkus (chroniący przed wilkami); ze świętem związana była podanie o Faustulusie, pasterzu, który miał znaleźć Romulusa i Remusa w wilczym legowisku i zabrać do swojego domu, gdzie mieli zostać wychowani przez jego żonę Akkę Larentię.

do zamieszek, nie martwiąc się o mniej lub bardziej poważne skutki ich buntu.

Tak więc, podczas gdy adiutant generała wykonywał powierzoną mu misję, Rubio rozkazał pułkownikowi Melendezowi zabrać ze sobą wszystkich żołnierzy ze strażnicy przy *cabildo*, poprowadzić ich i przejąć liczbę statków niezbędnych do przetransportowania żołnierzy na stały ląd.

Rozkaz ten nie był trudny do wykonania. Nie tracąc ani chwili, pułkownik udał się do portu i nie napotykając najmniejszego oporu ze strony kapitanów i szyprów tych statków, doskonale wiedzących, że każda odmowa zostanie uznana za nieważną, pułkownik wkrótce zebrał flotyllę około piętnastu lekkich stateczków, więcej niż wystarczającą do przetransportowania garnizonu.

Tymczasem adiutant wykonał swoją misję szybko i inteligentnie, więc po zaledwie dwudziestu minutach wszyscy meksykańscy oficerowie zebrali się w domu generała.

Ten, nie tracąc ani chwili, głosem nie dopuszczającym żadnych odpowiedzi, wyjaśnił im położenie, w jakim zdobycie fortu postawiło garnizon, konieczność niedopuszczenia do odcięcia komunikacji z lądem oraz zamiar jak najszybszego ewakuowania się z miasta.

Oficerowie, zgodnie z oczekiwaniami generała, jednogłośnie przyklasnęli jego postanowieniu. W głębi duszy wcale nie dążyli do trwania w oblężeniu, podczas którego czekałyby ich tylko okropności bez odniesienia żadnych korzyści. Wojna w terenie podobała im się o wiele bardziej ze wszystkich punktów widzenia. Po pierwsze, złupienie estancji¹ i hacjend oferowało im ogromne korzyści; po drugie, mieli nadzieję zemścić się na powstańcach na otwartym terenie za wiele porażek zadanych im przez wrogów od czasu kiedy zostali zamknięci w mieście.

Dlatego generał natychmiast wydał rozkaz skierowania do portu wojsk z bronią i bagażami.

¹ *Estancia* (hiszp. *estancia*) – rodzaj gospodarstwa rolnego w północnej Argentynie, gdzie hoduje się zwierzęta opasowe i owce (ze względu na wełnę) oraz rośliny pastewne i zboża; typowa dla Argentyny forma hacjendy, odpowiednik północnoamerykańskiego rancza.

Jednakże, aby uniknąć jakichkolwiek powodów do nieporządku, ruch został przeprowadzony bardzo powoli, a pułkownik nadzorujący zaokrętowanie, zadbał o ustawienie licznych posterunków przy wejściu do każdej ulicy prowadzącej do portu, tak aby ludność była trzymana z dala od żołnierzy i nie dochodziło między nimi do bijatyk.

Gdy tylko jeden statek miał na pokładzie ilość żołnierzy, których mógł pomieścić, natychmiast wypływał na otwarte morze, zbytnio się jednak nie oddalając.

Generał chciał, by flotylla opuściła miasto razem.

Dzień był wspaniały, słońce wprost raziło i zatoka lśniła jak ogniste lustro.

Mieszkańcy, trzymani na dystans przez bagnety żołnierzy, patrzyli posępnie i w milczeniu, jak oddziały wchodziły na statki, zaniepokojeni tym ruchem, którego nic nie rozumieli, i tak dalecy byli od podejrzeń o odejściu meksykańskiego garnizonu, że wręcz przeciwnie założyli, że generał wyrusza z niektórymi ze swoich oddziałów, aby podjąć próbę wyprawy przeciwko powstańcom.

Kiedy wszyscy żołnierze, z wyjątkiem tych, którzy mieli chronić odwrót swoich towarzyszy, zostali zaokrętowani, generał posłał po głównego alkada¹, *jefe de letras* i *corregidora*².

Ci urzędnicy udali się do kwatery generała z udawanym entuzjazmem, słabo ukrywając mocny niepokój wywołany otrzymanym właśnie rozkazem.

Pomimo szybkości, z jaką oddziały zostały zaokrętowane, była już prawie dziewiąta rano.

W chwili, gdy generał przygotowywał się do przemówienia do tak niespodziewanie wezwanych urzędników, do *cabildo* wszedł pułkownik Melendez i po pełnym szacunku powitaniu gubernatora, powiedział do niego:

– Generale, osobnik, o którym miałem zaszczyt rozmawiać z panem zeszłej nocy, już oczekuje.

¹ *Alkad* (*alcide*, hiszp.) – burmistrz w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej; w Ameryce w czasach kolonialnych urzędnik hiszpański, zarządzający okręgiem na obszarze osadnictwa europejskiego.

² *Corregidor* (hiszp.) – hiszpański urzędnik, sędzia ziemski, sędzia pokoju, burmistrz.

– Ach! ach! – powiedział generał, gryząc ironicznie wąsy. – Czy on tu jest?

– Tak, generale. Obiecałem przedstawić go Waszej Ekscelecencji.

– Dobrze więc. Poproś go, żeby wszedł.

– Jak to?! – odparł pułkownik ze zdumieniem. – Czy Wasza Ekscelecencja zamierza przesłuchać go przy świadkach?

– Oczywiście! I żałuję, że nie ma ich więcej. Wprowadź tego człowieka, mój drogi pułkowniku.

– Czy Wasza Ekscelecencja dobrze przemyślał rozkaz, który miał honor mi wydać?

– Do diabła, myślę, że tak! Zobaczysz, przyjacielu, że będziesz zadowolony z tego, co zamierzam zrobić!

– Skoro pan tego żąda, generale – odparł pułkownik z wahaniem – pozostaje mi tylko być posłusznym.

– Tak, tak, przyjacielu, bądź posłuszny i nie martw się, mówię ci.

Pułkownik wycofał się bez dalszych nalegań. Po kilku minutach wrócił, prowadząc Johna Davisa.

Amerykanin zmienił swój nocny strój na bardziej stosowny do okazji. Jego postawa była poważna, chód dumny, ale nie arogancki. Gdy wszedł do pokoju, uprzejmie przywitał się z generałem i przygotował się do przemówienia do niego.

Generał Rubio uprzejmie odwzajemnił powitanie Johna Davisa, ale powstrzymał go gestem.

– Wybacz mi pan – powiedział – że poczeka jeszcze kilka chwil. Być może po wysłuchaniu tego, co mam zaszczyt powiedzieć tym *caballeros*, uzna pan swoją misję za zakończoną.

Amerykanin uklonił się bez odpowiedzi i czekał.

– *Señores* – powiedział generał, zwracając się do urzędników – właśnie otrzymane rozkazy zobowiązują mnie do tymczasowego opuszczenia waszego miasta wraz z oddziałami, którymi mam zaszczyt dowodzić. Podczas mojej nieobecności pozostawiam kierowanie sprawami miasta w waszych rękach, przekonany, że będziecie działać we wszystkim z rozważą i we wspólnym interesie. Strzeżcie się jednak, abyście nie ulegli złym radom lub nie dali się zdominować pewnym

namiętnościom, których nie chcę tu opisywać. Kiedy wrócę, co nie powinno potrwać długo, poproszę was o ściśle rozliczenie się ze swoich działań podczas mojej nieobecności. Teraz uważnie rozważcie moje słowa i bądźcie przekonani, że nic, co zrobicie, nie będzie mi nieznane.

– A więc, generale – powiedział alkad – to jest powód ruchu wojsk, który widzieliśmy dziś rano? Naprawdę odjeżdżacie?

– Słyszał mnie pan, *señor*?

– Tak, słyszałem, generale. Ale z kolei, jako urzędnik, zapytam pana, jakim prawem pan, wojskowy gubernator państwa, porzuca jeden z jego głównych portów na rzecz własnych zasobów, w krytycznych okolicznościach, w jakich się znajdujemy, kiedy rewolucja puka do naszych drzwi i to bez uczynienia najmniejszego wysiłku, aby się bronić. Czy to naprawdę jest działanie jako obrońcy tego nieszczęsnego miasta, aby wycofać się w ten sposób, pozostawiając je po wyjeździe otwarte na anarchię, której, jak pan wie, tylko obecność waszych wojsk była w stanie do tej pory zapobiec. Nie akceptujemy ciężaru, który próbuje pan na nas zrzucić, generale. Nie chcemy brać odpowiedzialności za tak ciężkie zadanie, nie możemy być karani za błędy innych. Gdy tylko ostatni meksykański żołnierz opuści miasto, masowo podamy się do dymisji, nie chcąc poświęcać się dla rządu, bowiem jego postępowanie wobec nas cechuje taki egoizm i zimne okrucieństwo! To właśnie musiałem panu powiedzieć, generale, w imieniu swoim i moich kolegów. Teraz pańska kolej, aby działać tak, jak uważasz za stosowne. Dobrze wiesz, że w żaden sposób nie możesz na nas liczyć.

– Ho! ho! *señores*! – zawołał generał, marszcząc gniewnie brwi. – Czy tak zamierzacie się zachować? Mieście się na baczności! Nie odszedłem, wciąż jestem panem w Galveston i zanim odejdę mogę dać surowy przykład!

– Uczyn tak, generale. Zniesiemy bez skargi każdą karę, jaką zechcesz nam wymierzyć, nawet śmierć.

– W porządku, panowie! – odparł generał głosem drżącym z gniewu. – Skoro tak jest, pozostawiam wam swobodę działania w zależności od okoliczności. Ale być może wkrótce będziecie musieli zdać mi surową relację.

– Nie my, Ekscelencjo, ponieważ pańskie odejście jest sygnałem do naszej rezygnacji.

– Zatem podejmując taką decyzję pogrążycie swój kraj w anarchii?

– Co możemy na to poradzić? Jakie mamy środki, by temu zapobiec? Nie, nie, generale, to nie my jesteśmy osobami do których należy kierować wyrzuty!

Generał Rubio w sercu czuł logikę tego rozumowania. Doskonale widział, jak samolubne i bardzo okrutne było jego postępowanie wobec całej populacji, którą w ten sposób oddawał, bez żadnych środków obrony, wściekłości powszechnych namiętności. Niestety, sytuacja nie była już do utrzymania. Miasta nie można było obronić, nadszedł czas, aby je opuścić.

Nie odpowiadając alkadowi – bo jakiej odpowiedzi mógł mu udzielić? – generał dał znak swoim adiutantom, by podążyli za nim i przygotował się do opuszczenia *cabildo*.

– Przepraszam, że zatrzymam pana na chwilę, generale – odezwał John Davis – ale chciałbym porozmawiać z Waszą Ekscelencją kilka minut przed jego wyjazdem.

– Nie słyszał pan, co tu powiedziano? Niech pan wróci do tych, którzy pana przysłali i zda im relację z tego, co pan widział. To wystarczy.

– Jednak, generale – rzekł z naciskiem Davis – chciałbym...

– Co? – przerwał mu gwałtownie generał i z ironią dodał: – Przedstawić mi propozycje od powstańców, bez wątpienia? Chcę, żeby pan wiedział, że cokolwiek się stanie, nigdy nie zgodzę się pertraktować z rebeliantami. Dziękuję pułkownikowi Melendezowi, że był uprzejmy przyprowadzić pana do mnie. Bez jego interwencji na rzecz pana kazałbym pana powiesić jako zdrajcę kraju! Odejdź, albo raczej nie, nie chcę aby pan tu został gdy ja odejdę. Schwycić tego człowieka! – dodał donośnym głosem po chwili refleksji.

– Generale, uważaj – odpowiedział Amerykanin. – Powierzono mi misję. Aresztowanie mnie będzie pogwałceniem prawa narodów.

– Daj spokój, mój panie! – powiedział generał, wzruszając ramionami. – Jesteś szalony! Czy uznaję prawo tych, którzy pana przysłali, do kierowania do mnie parlamentarzystów? Czy wiem, kim pan jest? *Vive Dios!* W jakich to czasach żyjemy, że rebelianci ośmielają się

pertraktować z rządem, przeciwko któremu się buntują? Jesteś moim więźniem, panie! Ale spokojnie, nie mam zamiaru cię źle traktować ani długo przetrzymywać. Będziesz nam towarzyszył w drodze na kontynent, to wszystko. Gdy już tam dotrzesz, będziesz mógł udać się, gdzie tylko zechcesz. Widzisz, panie, że ci Meksykanie, których kochasz przedstawiać w tak ciemnych barwach, nie są jeszcze tak okrutni, jak lubisz mówić.

– Zawsze oddawaliśmy sprawiedliwość pańskiemu sercu i pańskiej lojalności, generale.

– Nie obchodzi mnie, jaką opinię o mnie macie wy i wam podobni! Idziemy.

– Protestuję przeciwko temu nielegalnemu aresztowaniu.

– Jak chcesz, panie, protestuj, ale chodź za mną!

Stawianie oporu byłoby szaleństwem, więc John Davis chętnie się podporządkował.

– Chodźmy! – odparł, śmiejąc się. – Pójdę z panem, generale. W końcu nie mogę zbyt często narzekać, ponieważ tak się dzieje na wojnie.

Wyszli na zewnątrz.

Mimo oślepiającego blasku słońca, którego promienie zalewały miasto palącym żarem, cała ludność tłoczyła się na ulicach i placach.

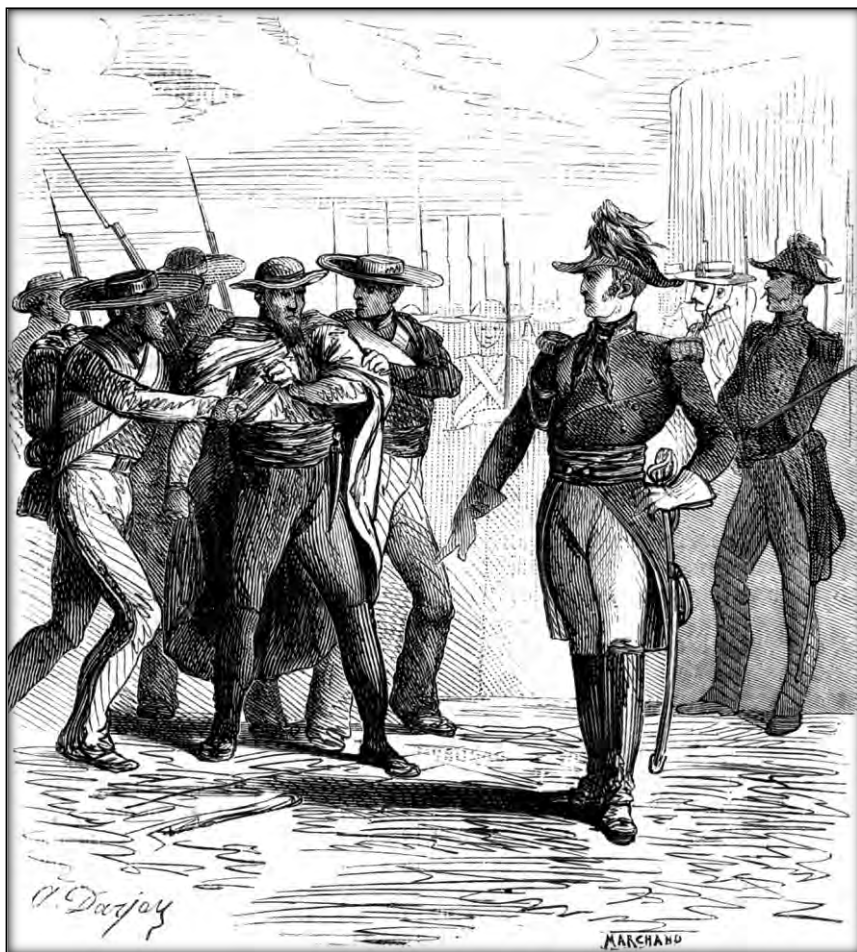
Jednak tłum milczał, obserwując spokojnie i beznamietnie, jak meksykańska armia odchodzi.

Ludzie nie podjęli ani jednego wysiłku, by przerwać kordon wartowników rozstawionych wzdłuż portu.

Kiedy pojawił się generał, tłum odsunął się z szacunkiem w prawo i w lewo, gdy przechodził. Wielu ludzi ukloniło się mu.

Mieszkańcy Galveston nienawidzili meksykańskiego reżimu, ale oddawali sprawiedliwość gubernatorowi, bowiem jego uczciwa i umiarkowana administracja skutecznie ich chroniła, gdy żył wśród nich, zamiast nadużywać swojej władzy, by wywierać na nich presję i tyranizować ich. Odejście wojsk obserwowali z radością, a odejście generała ze smutkiem.

Stary żołnierz szedł spokojnym krokiem, głośno rozmawiając ze swoimi oficerami, uprzejmie odwzajemniając ukłony. Twarz miał uśmiechniętą, a postawę pewną. Po kilku minutach dotarł do portu.



– Jesteś moim więźniem, panie! Ale spokojnie,
nie mam zamiaru cię źle traktować ani długo przetrzymywać.

Na jego rozkaz ostatni żołnierze weszli na pokład.

Generał, bez broni innej niż szabla, pozostał przez kilka minut niemal sam pośród tłumu podążającym za nim na molo. Towarzyszyło mu tylko dwóch adiutantów. John Davis wsiadł już do łodzi i został zabrany na pokład szkunera, na którym miał płynąć sam generał.

– Generale – powiedział jeden z adiutantów – wszyscy żołnierze są już na pokładzie i jedyne, co możemy zrobić, to czekać na rozkaz Waszej Ekscelencji.

– W porządku, kapitanie – odpowiedział Rubio.

Następnie zwrócił się do urzędników maszerujących obok niego od *cabildo*.

– Żegnajcie *señores*! – powiedział, zdejmując kapelusz, a jego białe pióra omiotły ziemię. – Żegnajcie, a raczej do widzenia! Z głębi duszy modłę się do Boga, aby podczas mojej krótkiej nieobecności udało się wam uniknąć scen nieporządku i anarchii, zbyt często wywołanych burzeniem się partii. Do widzenia! Być może spotkamy się ponownie wcześniej, niż myślicie. Niech żyje Meksyk!

– Niech żyje Meksyk! – krzyknęli dwaj oficerowie.

Tłum milczał, a generał nie wydał z siebie ani jednego okrzyku. Potrząsnął smutno głową, po raz ostatni skłonił się i wsiadł do czekającej na niego łodzi.

Dziesięć minut później meksykańska flotylla opuściła Galveston.

– Kiedy wrócimy? – szepnął smutno generał, patrząc na miasto, którego budynki coraz bardziej znikają za morzem.

– Nigdy! – powiedział mu do ucha John Davis proroczym głosem, który głęboko zabrzmiał w sercu starego żołnierza i nappełnił go goryczą.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!